

# POD WIATR.pl

NR 5 (176) ROK XXII PAŹDZIERNIK/LISTOPAD 2014

ISSN 2084 - 8226

**SAMI O SOBIE** CZASOPISMO MŁODZIEŻOWE

**5**



*Nasze 21. urodziny*

Jesienna przejażdżka.

fot. Robert Sawicki

*W numerze*

**Frezje  
dla „Zo”**

**Marzenia do  
spełnienia**

**Raj wśród  
drzew**

**Kwiaty  
pamięci**

Korespondencja z Orenburga

**Ekologia  
bez granic**

**Witryna  
Literacka**



# Nasze 21. rocznica

## Z wiatrem POD WIATR



fot. Robert Sawicki

**K**iedy przed laty odbierałem z drukarni pierwsze wydania POD WIATR, snułem domysły, ile ich jeszcze będzie. Byłbym nieszczerzy, gdybym nie wyznał, iż w skrytości ducha wierzyłem, że będę mógł to robić przynajmniej pięć lat. Pięć lat... Mały jubileusz. Potem wydawał mi się ten cel tak odległy, tak głęboko ukryty wśród wielu pytań o przyszłość, iż lękałem się o nim myśleć inaczej niż w kategoriach pięknego snu. Tym bardziej więc doceniam zrządzenie Opatrzności, która pozwoliła mi wraz z kolejnymi pokoleniami podwiatrowców czas trudu wieńczyć latami satysfakcji i radości.

W październiku 2014 roku minęło dwadzieścia jeden lat od dnia, kiedy z portu nad Brdą wyruszył w świat nasz okręt z młodzieżową załogą dziennikarzy i literatów, stając się zjawiskiem prasowym bez precedensu – pierwszym w Polsce czasopismem społeczno-kulturalnym o zasięgu międzykontynentalnym, tworzonym przez młodzież dla młodzieży tej samej narodowości.

Pożeglowaliśmy ku nieznannej przyszłości z tytułem POD WIATR, który uosabiał bariery i niepokoje piętrzące się przed młodością – niekiedy dumną, chmurną, ale jeszcze częściej wzlatu-

jąca nad poziomy tego, co zwyczajne, szare. Z hasłem – POD WIATR, motywowani silnym pragnieniem pokonania jego podmuchów i nawałnic. Tak, to była ICH filozofia, nastoletnich, niepokornych romantyków i entuzjastów. Mobilizująca, fascynująca. Ujęli mnie swoim talentem, zapalem i wolą pokazania, ile są naprawdę wari. Wziąłem ich filozofię do serca, nadałem jej kształt, barwę i puściliśmy się na głęboką wodę. Coraz dalej i dalej... Do Rodaków mieszkających blisko i na krańcach Ziemi.

Moją intencją było uczynienie z POD WIATR witryny promocyjnej młodych

talentów z kraju i zagranicy – z jednej strony, z drugiej – forum przyjaźni oraz świadectwa tożsamości narodowej i pokoleniowej. Ideę tę podjęło w okresie dwudziestu jeden lat kilka tysięcy nastoletnich reporterów, literatów, fotografików, rysowników, głównie z Kujaw i Pomorza, ale także z innych regionów kraju. Kontakt z Polakami zamieszkującymi najbardziej odległe miejsca Ziemi, związane przyjaźnie i sympatie, mimo tysięcy kilometrów dzielących młodych ludzi – to tylko niektóre aspekty tej wydawniczej misji. Na łamach czasopisma często gościli i goszczą dorośli, dzieląc się z młodzieżą swoim doświadczeniem. Rodacy, w których twórczość młodego pokolenia wzniciła na nowo iskrę młodości, wnoszą do naszej podwiatrowej idei nowe akcenty.

W grudniu 2011 roku ukazała się po raz ostatni papierowa wersja POD WIATR. Od 2012 roku „Pod Wiatr.pl” kontynuuje swój rejs w wersji elektronicznej.

POD WIATR osiągnął więcej, niż spodziewał się ktokolwiek z jego twórców i przyjaciół. Żadne słowa nie oddadzą uczuć gromadzących się w sercu w takiej chwili. Zapiszmy zatem WSPÓLNIE, w kronice NASZEJ MAŁEJ HISTORII, że w październiku 2014 roku POD WIATR pod pełnymi żaglami płynie przez oceany świata z nadzieją, że w Przystaniach Pamięci znajdzie trwałe, życzliwe wspomnienie Czytelników.

Drodzy Czytelnicy w kraju i Rodacy na świecie,

dziękujemy za miejsce w Waszych domach, za Wasz krzepiący odzew. POD WIATR nie istniałoby bez Waszej sympatii. Ona nas uskrzydla.

Dziękujemy za życzliwość i pomoc Instytucjom i Urzędem wspomagającym naszą ideę łączenia w polskie „kolisko” serc TU i TAM. Dziękujemy Domowi Wydawniczemu „Margarfsen” za dwadzieścia jeden lat wspólnej pracy nad edytorskim wizerunkiem naszego pisma. Dziękujemy gronu Zacnych Osób za przyjacielskie gesty wsparcia pomagające nam żeglować z POD WIATR przez świat.

Cieszymy się, że wszyscy jesteście z nami.

**Mirosław Twaróg**  
z zespołem redakcyjnym

Rok 2014  
– Rokiem  
Kanału  
Bydgoskiego

Kanał w malarstwie  
gimnazjalistów



mal. Agnieszka Piórkowska



mal. Agnieszka Krüger



mal. Daria Rosplochowska i Daria Ensminger

**POD WIATR.pl**

POD WIATR.PL [www.podwiatr.pl](http://www.podwiatr.pl) społeczno-kulturalne czasopismo młodzieżowe.

**Redagują:** Anna i Mirosław Twaróg (red. naczelny). **Sekretarz redakcji:** Katarzyna Twaróg. **Redaktor graficzno-techniczny:** Anna Faleńczyk. **Redaktor Witryny Literackiej:** Zygryd Szukaj. **Adres korespondencyjny:** POD WIATR 85-099 Bydgoszcz 23 skr. pocztowa 49. e-mail: [podwiatr93@wp.pl](mailto:podwiatr93@wp.pl). **Z redakcją współpracują:** Maria Babyszka i Agata Bełka-Świtkowska (Osiek n. Notecia), Marta Jagieło (Bydgoszcz), Danuta Buryta-Arnt i Maria Mitek (Łobżenica), Dorota Witt (Toruń), Paulina Młyńska (Poznań), Robert Sawicki (Bydgoszcz), Agnieszka i Żaneta Szlachcikowskie (Grudziądz). **Współpracownicy zagraniczni:** Zygmunt Kowalski (Argentyna), Qaarcaana Kowalska (Rosja), Dorota Mabajia (Mozambik), Jarosław Moczarski (Kanada), Gosia Putteeraj i Ewa Mahadea (Mauritius), Monika Schneider (USA), Andrzej Szwagrak (Boliwia), Jolanta Villarreal (Panama), Wanda Seliwanowska i Jan Zembrzusi (Rosja), Justyna Zuń-Dalloul (Wenezuela). **Wydawca:** „Agencja Wydawniczo-Reklamowa MT” Mirosław Twaróg, 85-028 Bydgoszcz, ul. Żmudzka 5, tel.: +48 52 342 93 10. **Skład i łamanie:** Dom Wydawniczy MARGRAFSEN S.C., 85-808 Bydgoszcz, ul. Białogardzka 11A, tel: +48 52 370 38 00, e-mail: [biuro@margarfsen.pl](mailto:biuro@margarfsen.pl) <http://www.margarfsen.pl>

REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ ZAMIESZCZONYCH REKLAM. ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO ADIUSTACJI, SKRACANIA TEKSTÓW I ZMIANY TYTUŁÓW.



Na wieczną wartość odeszła w sobotni poranek 10 stycznia 2009 roku. Do setnych urodzin brakowało jej zaledwie kilku tygodni. Całe swoje, jak powtarzała, szczęśliwe życie poświęciła „dla sprawy”. Generał brygady, profesor, doktor habilitowany, zasłużony żołnierz II wojny światowej, jedyna cichociemna, druga po Marii Skłodowskiej-Curie w plebiscycie Muzeum Historii Polski i Magazynu Historycznego na Polkę wszech czasów, Dama Orderu Orła Białego, Kustosz Pamięci Narodowej, prawdziwa patriotka. Oto Elżbieta Zawacka. Jednak epitafium na jej nagrobku mówi, po prostu, „pedagog – żołnierz – historyk”. Bo należy pamiętać, że przede wszystkim była człowiekiem, i to człowiekiem przez wielkie „C”.

## Frezje dla „Zo”

### PEDAGOG

Do zawodu przygotowywała się na Uniwersytecie Poznańskim, studiowała matematykę. Jednak nauczyciel to nie zawód, to styl życia. Dla Elżbiety Zawackiej również powołanie. Przywiązywała ogromną wagę do wykształcenia, na które zasługiwał przecież każdy.

Uczyła w Niemczech, w Polsce, w gimnazjach, liceach, na uniwersytecie, a nawet w więzieniu, ale za najważniejsze wydarzenie w życiu uważa przystąpienie do Przystosowania Wojskowego Kobiet (w skrócie: PWK). „W ideę szkolenia młodych dziewcząt na wypadek wojny uwierzyła bez reszty” – pisze autorka biografii Pani Elżbiety, Katarzyna Minczykowska. Wszystko, co robiła dla kraju, uważała nie za pracę, lecz za służbę, która dawała jej największą radość. Dlatego po ukończeniu kursów instruktorskich jeździła po Polsce, zakładając hufce PWK. Będąc w Tarnowskich Górach, organizowała tajne wieczory świetlicowe dla uczennic tzw. liceum raciborzanek. Bardzo się ze sobą żyły i potem pomagały sobie w czasie wojny. „Była moim dowódcą, drogowskazem i przyjacielem” – wyznała jedna z podopiecznych z PWK. Kontakt z młodzieżą był dla niej ważny również po roku 1945, bo cel brzmiał niezmiennie: wychowywać w duchu patriotyzmu.

### ŻOŁNIERZ

Elżbieta Zawacka została zmobilizowana 26 sierpnia 1939 roku. Pierwszy rozkaz otrzymała tydzień później. Nie wiedząc, co ją czeka, wsiadła w autobus i wyjechała z Katowic, gdzie dotychczas pomagała żołnierzom i cywilom. Tak dotarła do Lwowa i tam razem z resztą Batalionu Wojskowej Służby Kobiet dzień i noc napełniała benzyną butelki. Ale ona chciała walczyć, przecież była żołnierzem! Nie traciła czasu, zebrała koleżanki z PWK i wspólnie pracowały w wywiadzie, kontrwywiadzie, dywersji i sabotażu. Sama Elżbieta Zawacka zajmowała stanowisko szefa łączności. Jej perfekcyjny niemiecki, blond włosy i niebieskie oczy sprawiły, że stała się idealną kandydatką do pracy kurierki. Wtedy przyjęła pseudonim „Zo”. Mówiła, że granicę przekraczała ponad sto razy. Jednak mimo rutyny, nie obyło się bez stresów. Szczególnie w przypadku wielkiej „wspy”, kiedy uciekając przed szpiegami, była zmuszona wyskakiwać z nocnego pociągu i pędzić w nieznaną. Udało się, miała przecież jeszcze tyle do zrobienia.

Najważniejszą misją „Zo” była wyprawa do Sztabu Naczelnego Wodza



Elżbieta Zawacka

w Londynie. Oprócz zdania relacji z sytuacji w kraju i usprawnienia łączności Warszawy z Londynem, miała jeszcze jedno zadanie, które przed wyjazdem wielokrotnie omawiała ze swoją mentorką, komendantką Marią Wittek. Chciała umożliwić walczącym kobietom prawo do awansu, żeby były traktowane jak prawdziwi żołnierze. Po trudach przeprawy (zarówno pieszo, koleją, jak i statkiem) spotykała się z wieloma osobistościami na emigracji, niestety, z miernym skutkiem – znak, że czas wracać. W tym celu nabyła kolejną umiejętność – skoku ze spadochronem i tym sposobem we wrześniu 1943 roku, jako jedyna kobieta wśród 316 cichociemnych, wylądowała na ojczystej ziemi.

### HISTORYK

Na świadectwie szkolnym z okresu szkoły podstawowej można przeczytać, że Elżbieta Zawacka była z historii „dostateczna”. Dużo lepiej radziła sobie z językiem niemieckim, łaciną i francuskim. Czym wobec tego zasłużyła sobie na miano historyka? Zamiłowaniem i dokonaniem.

Zacząła od nawiązywania kontaktów i gromadzenia materiałów w domu. W 1986 roku założyła w Toruniu Klub Historyczny, a wkrótce Fundację „Archiwum i Muzeum Pomorskie Armii Krajowej oraz Wojskowej Służby Polek” w Toruniu. Wszystko po to, by utrwalić i upowszechnić historię

Polek i Polaków na frontach II wojny światowej.

Fundacja stała się dla niej wszystkim. Na pytanie: „Pani nie ma dzieci?”, odpowiadała „To jest moje dziecko!”. Nie dla niej były odpoczynek, spokojna emerytura. Elżbieta Zawacka musiała działać. Na I Jeździe Kombatantek powołała Memoriał Marii Wittek – „inicjatywę społeczną skupiającą ludzi dobrej woli, wspierających fundację w gromadzeniu materiałów źródłowych”. Pani Profesor osiągnęła kolejny cel, więc mogła ruszyć dalej. „My musimy się rozwijać” – apelowała do prezydenta Torunia. I nie musiała czekać długo. Fundacja otrzymała od miasta nową, większą siedzibę. „Wedle rozkazu pani profesor” – odpowiedział wtedy prezydent Michał Zaleski.

Świat już dowiedział się, że Elżbieta Zawacka to wybitny pedagog i żołnierz. W trzecim rozdziale swojego życia postanowiła połączyć te dwie umiejętności, ucząc, jak walczyć o pamięć. **Naród nie może zgubić żadnego pokolenia. Wasze też musi znaleźć się w historii.**

### CZŁOWIEK

Była zapalonym działkowcem, a z kwiatów najbardziej lubiła frezje. Czasami brała taksówkę i jechała po prostu pobyt tam chwilę. Kiedy pracownicy przychodziły do jej skromnego mieszkania zdać relację z postępu prac, zawsze czekało na nie ciastko

z herbatką. Jednak czas ją gonił i szybko wracała do obowiązków.

Zdyscyplinowana, pracowita i wymagająca. Nie tolerowała niewiedzy. Pracowników Fundacji trzymała krótko i wszystkiego skrupulatnie doglądała – jak prawdziwy dowódca. Oczekiwała koncentracji i dotrzymywania terminów. Kiedy ktoś napomknął coś o czasie, jaki poświęcił zleconemu zadaniu, puentowała: „O tym się nie mówi, ma być i koniec”.

Najbardziej szanowała zapal, pasję i samorozwój. Dbała o utrzymanie koleżeńskich kontaktów, a na każdą wiadomość odpisywała natychmiast. „Umiała być wdzięczna” – wspomina pracownica Fundacji o najdłuższym stażu i pokazuje mi prezent od Pani Elżbiety – książkę z dedykacją. Wieloletnia towarzyska Pani Profesor dostawała od swojej szefowej własnoręcznie pisane liściki z instrukcjami dotyczącymi korespondencji z kombatantkami, ale i podziękowaniami za wykonaną pracę i życzeniami imiennymi. „Bardzo ładnie się do mnie zwracała. Czasami się zdenerwowała, ale zawsze przyznawała się do błędów”.

„Ja się jej bałam, ale ją kochałam” – kończy swoją opowieść. Widzę jej wzruszenie. Nic nie mówi – to chwila dla wspomnień.

\* \* \*

Z dokonania Pani Elżbiety będziemy czerpać jeszcze długo. Wciąż jest pedagogiem w sercach swoich uczniów, którzy kontynuują jej pracę, przekazując wiedzę i zarażając energią następnego pokolenia. Jako żołnierz wywalczyła wolną Polskę. A będąc historykiem, zadbała o pamięć dla tysięcy kombatantów. Obywatele jej ukochanego kraju nie chcą pozostać dłużni. Istnieje już kilka instytucji jej imienia – trzy toruńskie szkoły i Biblioteka Pedagogiczna. W grudniu ubiegłego roku oddano do użytku nowy most drogowy im. gen. Elżbiety Zawackiej. Patronuje drużynom harcerskim, konkursowi historycznemu „Oni tworzyli naszą historię”, a co najważniejsze – swojej własnej fundacji – tu można wręcz poczuć jej obecność. Pracownicy nie spoczęli na laurach, działają tak, jakby nadal nad nimi czuwała. „Tu się czuje misję” – mówi najmłodsza z nich, która jeszcze dwa lata temu była jedynie wolontariuszką, a teraz prowadzi prelekcje, nagrywa wywiady z kombatantkami i ciągle wymyśla nowe projekty. Nie poznała Pani Elżbiety osobiście, ale podziwia i nie chce zawieść kobiety tak zwyczajnie nadzwyczajnej.

\* \* \*

Nam, pokoleniom niedotkniętym tragizmem wojny, pozostaje być dumnym i z tą dumą się obnosić. Często przepełniają nas wstyd, smutek, gorycz, zapominamy o sukcesach przeszłości. Pani Elżbieta zasługuje na pamięć. Jej nazwisko powinno być dla nas symbolem poświęcenia w imię miłości do narodu, a jej życie dowodem, jak wiele może zdziałać jeden człowiek. Ten reportaż, Czytelniku, był dla mnie lekcją patriotyzmu, ale również pokory. Pokory wobec tych, którzy swoimi czynami „wybudowali pomnik”, który nigdy nie pozwoli im naprawdę umrzeć. Musimy troszczyć się o jego wizerunek. Nośmy w sercu szacunek, a historię przekazujemy niczym dobrą nowinę. Świat gościł już wielkie osobistości, jednak to od nas zależy jego przyszłość.

Jagna Nawrocka I. 18  
 fot. archiwum



## 21 lat POD WIATR – wspomnienie radosne

Dla wielu czytelników POD WIATR w kraju i za granicą wydarzeniem religijnym i duchowym roku 2002 stały się Światowe Dni Młodzieży w Toronto (Kanada). Przypominamy ich atmosferę fragmentami dzienniczka Julii Pulwickiej, uczennicy Szkoły Sobotniej im. Jana Pawła II w Calgary.

# Dzienniczek Julii

**DZIEŃ PIERWSZY – Piątek, 19 lipca 2002.** Po specjalnej Mszy św. o godzinie 8.00 w kościele pw. Matki Bożej Królowej Pokoju oraz wielu zdjęciach i uściskach wyruszyliśmy o 9.30 w drogę do Regina. Już parę kilometrów za Calgary przez gry i zabawy zaczęliśmy się lepiej poznawać. Szybko poczuliśmy, że każdy w autobusie jest przyjacielem i że na końcu tych siedemnaście dni będziemy rodziną.

Podczas jazdy był czas na modlitwę, śpiewy i oglądanie filmów. Wczesnym wieczorem dotarliśmy do jedynej polskiej parafii w Reginie pw. św. Antoniego, wybudowanej w 1931 roku. Rozładowaliśmy bagaże, zjedliśmy obiad i siedzieliśmy przed kościołem, śpiewając i grając na gitarach. Rozstaliśmy się po modlitwie wieczornej; trzyciościoro dwie osoby z pielgrzymki przyjęli do swoich domów parafianie, a piętnaście osób zostało w sali parafialnej i na plebanii. Wszyscy byliśmy mile zaskoczeni gościnnością i otwartością rodzin i parafii, tak typowo polskimi.

**DZIEŃ DRUGI – Sobota, 20 lipca 2002.** (...) Wyjeżdżając z Regina, zwiedziliśmy miasto i poznaliśmy małą część Saskatchewan. Nastrój zrobił się bardziej refleksyjny podczas dyskusji o naszej wierze, o innych wyznaniach i własnych opiniach na przeróżne, lecz poważne tematy. Oprócz tego wysłuchaliśmy wykładu ks. Jacka o przyjaźni; jej pięknie i wartości w życiu człowieka, o przeżyciach, których my już na pewno doświadczyliśmy.

Na południowy posiłek zatrzymaliśmy się nad jeziorem Oak w Parku Prowincjonalnym Oak Lake. Jego nazwa pochodzi od lasów dębowych rosnących w tej części Manitoby. Spotkaliśmy grupę pielgrzymów z Manitoby dążącą do Toronto. Było nam bardzo miło odczuć solidarność pomiędzy naszymi grupami, pomimo tego, że się nie znaliśmy. Jednak bardzo mocno połączył nas cel, do którego zmierzaliśmy, a przyjaźń, która między nami się rodziła, przenikała nawet bariery językowe. Wszyscy czuliśmy ją w sobie.

**DZIEŃ TRZECI – Niedziela, 21 lipca 2002.** (...) Dzisiaj wypełniała cały autobus muzyka – Konrad i Nicolas z pomocą kilku osób skomponowali nową piosenkę. Jak nie hymny i piosenki religijne, to śpiewaliśmy morskie szanty i piosenki turystyczne na dwie gitary, tamburyno i grzechotki, przeważnie prowadzone przez Anię albo siostrę Salome. Grupa staje się sobie coraz bliższa i nawiązujemy wiele nowych przyjaźni jak również utrwalamy stare. Dojechalśmy do Thunder Bay około 21.00, ale pomimo późnej pory, parafia przywitała nas otwartymi drzwiami i sercami. Przygotowano wielki obiad ze znakomitym polskim jedzeniem i goszczono nas w tradycyjnym polskim stylu. (...)

**DZIEŃ SZÓSTY – Środa, 24 lipca 2002.** Nasz pierwszy dzień w Toronto był pełen przygód i energii. Najpierw dojecha-

liśmy do parafii św. Maksymiliana Kolbe w Mississaudze, gdzie skupiła się duża liczba polskich grup. Później udaliśmy się na Exhibition Place – centrum Światowych Dni Młodzieży. Dzisiaj pojechalśmy tam zjeść południowy posiłek i rozpoznać teren. Jako polska grupa, spotykając rodaków, okazywaliśmy entuzjastyczną serdeczność, ale brakowało nam biało-czerwonych znaków i flag narodowych. Zakupiliśmy więc dużo wielkich, polskich flag i witaliśmy się z każdą grupą rodaków głośno i widocznie.

Nasze pierwsze wrażenia związane z Exhibition Place okazały się bardzo pozytywne. Wielkie bramy witały nas napisami związanymi ze ŚDM. Po dość dokładnej kontroli wejściowej udaliśmy się w głąb terenów wystawowych. Zobaczyliśmy ogromne tłumy młodych ludzi z całego świata radośnie spędzających czas, wchłaniających atmosferę pełną energii.

Po pysznym posiłku, złożonym z chleba i gęstej zupy, niektórzy zostali, żeby uczestniczyć w pracach społecznych, lecz kiedy zgłosili się jako wolontariusze, okazało, że nic nie przygotowano dla nich do zrobienia. Pospacerowali więc po Toronto do czasu powrotu drugiej części grupy, która pojechała do Royal Ontario Museum na wystawę pięknych dzieł watykańskich. Były tam między innymi znane obrazy o tematyce biblijnej, rzeźby, naczynia i szaty liturgiczne. Ale największe wrażenie zrobiły ręcznie pisane i zdobione, potężne biblie i księgi z XII wieku.

Około godziny 17.00 dotarliśmy do Centennial Park w Etobicoke, gdzie



Pokaz naszego patriotyzmu

odbyła się ostatnia część naszego dnia – Dzień Polski – na górce narciarskiej. Muzyka i polskie jedzenie były dobre, lecz kolejki po posiłek ciągnęły się aż do połowy górki. Msza św. z udziałem Ks. Kardynała Józefa Glempa stanowiła wzruszającą część festiwalu. Kazanie było ładne – patriotyczne i proste.

Po Mszy św. dalej bawiliśmy się i nawet utworzył się krąg z muzyką i tańcem z udziałem Polaków z całego świata. Ci, którzy tańczyli i śpiewali, mówili, że panowało takie porozumienie i przyjaźń między pielgrzymami, iż trudno było wrócić do autobusu. To zgromadzenie polskiej młodzieży było największym jej zgromadzeniem w historii Światowych Dni Młodzieży.

**DZIEŃ SIÓDMY – Czwartek, 25 lipca 2002.** Dzisiaj mieliśmy okazję rozpocząć dzień katechezą i Mszą św. w kościele pw. św. Maksymiliana Kolbe. Było to bardzo dobrze zorganizowane spotka-

nie, na którym podjęliśmy wiele tematów i w przyjemny sposób poznaliśmy na nowo swoją Wiarę i Ojczyznę. (...)

Po południu pojechalśmy na Exhibition Place, gdzie o godzinie 15.00 zaczęliśmy zajmować miejsca na przywitanie Ojca Świętego Jana Pawła II, który miał przybyć o 16.15. Przejście przez tłum w pobliże estrady wymagało cierpliwości i dodatkowo energii, która co jakiś czas zamieniała się we wspólny spontaniczny śpiew i taniec. Ludzie chętnie garnęli się do siebie i nawet nieporozumienia językowe jakoś przekraczaliśmy – przeważnie uśmiechem lub piosenką. (...)

Samo przywitanie Papieża było bardzo emocjonalne i patriotyczne. Wiele razy śpiewano „Sto lat”, „Kochamy Ciebie” itd. Inne grupy językowe też wołały swoje powitania. Papież był bardzo zadowolony i tak wzruszony pokazem wiary młodzieży, że ocierał łzy z oczu. Po powitaniu wygłoszonym przez Papieża były piosenki, tańce i czytanie Ośmiu Błogosławieństw. Ojciec Święty mówił nam o znaczeniu i wadze Błogosławieństw w naszym życiu i o tym, że powinniśmy próbować jak najmocniej żyć Ewangelią.

**DZIEŃ DZIEWIĄTY – Sobota, 27 lipca 2002.** Dzisiaj rozpoczęliśmy tę część pielgrzymki, na którą wielu z nas oczekiwało; miała wypełnić ją piesza wycieczka, nocne czuwanie i Msza św. papieska. Niestety, nie przeszliśmy większości trasy pielgrzymkowej, lecz dojechalśmy szybciej metrem, aby zająć miejsca na wojskowym lotnisku Downsview. Miejsce, gdzie nocowaliśmy, znajdowało się tuż obok ołtarza i po ułożeniu naszych rzeczy wędrowaliśmy po całym placu. Spotykaliśmy grupy z różnych krajów, zorientowaliśmy się, co gdzie jest i czekaliśmy przez siedem godzin na rozpoczęcie czuwania. (...)

Przyjazdowi Papieża towarzyszyła bogata ceremonia, z muzyką i modlitwami. Przemówienie Jana Pawła II było piękne. Przekazał nam, że mamy żyć według nauki Chrystusa, budować swoje życie na Jego sile i być ludźmi Ośmiu Błogosławieństw. Mamy nie bać się Jezusa i nie czekać, aż się zestarzejemy, aby prowadzić święte życie.

Po odjeździe Papieża, około godziny 21.00, rozpoczęło się nocne czuwanie.



Nasza pielgrzymka na chwilę przed wyjazdem z Calgary.





Spowiedź święta młodych pielgrzymów z całego świata.

Przedstawienia i modlitwy trwały cały czas, aż do 3.00 nad ranem. Ale prawdziwe czuwanie trzymali Polacy przez całą noc. Ogromna liczba polskich grup połączyła się i paradowała po placu. Byliśmy największą, najgłośniejszą i najbardziej zjednoczoną grupą etniczną ze wszystkich!

Były też inne atrakcje w czasie czuwania; cały plac stał się jakby dużym festiwalem – wszędzie młodzież tańczyła, grała i bawiła się przez całą noc, łącząc kultury i świat swoją przyjaźnią. Widać było piękno tej dynamicznej chrześcijańskiej młodzieży z całego świata – tak różnej od siebie, lecz połączonej wiarą i religią.

**DZIEŃ DZIESIĄTY – Niedziela, 28 lipca 2002.** Dla większości młodzieży wczoraj i dzisiaj zwały się w jeden ciągły czas. Po nocnym czuwaniu byliśmy zaskoczeni ulewą z nieba o godzinie

5.30, jakby Pan Bóg budził nas wiałem wody w twarz. Kiedy ulewa przeszła, około 6.00 mała grupa wybrała się po śniadanie, rozdawane po drugiej stronie placu. Niestety, zanim grupa z jedzeniem doszła do naszego obozowiska, o 7.30 odcięto jej drogę, którą Papież za dwie godziny miał przejechać przez sam środek lotniska. Dopiero o 11.00 dotarli do reszty grupy, która z przyjemnością przyjęła późne śniadanie.

O godzinie 9.30 rozpoczęła się Msza św. wjazdem Papieża na plac i wejściem na ołtarz (dla Papieża przygotowano windę, lecz On wolał sam wejść po schodach). Wielu z nas widziało Papieża albo dzisiaj, albo poprzedniego dnia i wszyscy podkreślali, jaką silną postacią jest Jan Paweł II. Wyglądał na fizycznie zmęczonego, lecz oczy miał wesołe, radosne i pełne energii. Przemawiał nawet bez słów, że bardzo nas kocha.

Przez pierwszą godzinę Mszy św. padał mocno deszcz i wiał silny wiatr, ale mniej więcej w czasie, kiedy zaczęto śpiewać „Alleluja”, wiatr uspokoił się i pokazało się słońce, ogrzewając nas i pokazując poczucie humoru Pana Boga. Wiele osób zauważyło, że wiatr jest pierwszym znakiem zstąpienia Ducha Świętego i rzeczywiście – można było zastanowić się, czy w tym wietrze nie było czegoś więcej niż tylko zwykła dmuchawa.

Przemówienie i homilia Papieża znowu były inspirujące. Wzywał nas, abyśmy byli solą ziemi i światłem świata. I rzeczywiście, taka centralna myśl na ŚDM była bardzo odpowiednia, bo młodzież zebrana w Toronto była zdecydowanie inna: uśmiechnięta, otwarta, uprzejma i godna być przewodnikiem ludzkości w bliskiej przyszłości. Chrześcijańska myśl miłości stała się mocna i łatwo ją

było odczuć nie tylko przez czuwanie i Msze św., ale przez wszystkie Światowe Dni Młodzieży.

Papież widocznie czerpał z energii młodzieży, bo sam odprawił Ofiarowanie i bardzo pragnął przekazać nam wiele pięknych myśli, wiele wskazówek do budowania dobrego życia i świata. My zaś odpowiedziliśmy na Jego entuzjazm swoimi pieśniami i śpiewem, swoimi okrzykami i aplauzem oraz głębokim przeżyciem tego momentu. Spotkanie z Ojcem Świętym, cała Msza św. przepięknie były nieprawdopodobną miłością, która przelewała się w emocje. Równie niezwykłe było zaangażowanie 800 tysięcy młodych ludzi modlących się pod przewodnictwem jednego człowieka, tak wielkiego w duszy i umyśle – młodego na zawsze (...).

**Julia Pulwicka I. 17**  
 fot. archiwum autorki  
 POD WIATR 8/2002



W pielgrzymce na spotkanie z papieżem Janem Pawłem II.

**Z USA**

**Polskie drogi...**



Kochana Redakcjo!  
 Dziękuję pięknie za ostatni elektroniczny numer POD WIATR. Cykl wspomnieniowy „Polskie drogi...” to jakby bomba wzruszeń. Mieszkam w Chicago od 2 kwietnia 1960 roku, ale do Polski i jej krajobrazów wracam często we śnie. W rzeczywistości też ją odwiedzam tak często, jak czas i kieszeń pozwolą.

Jestem absolwentką Uniwersytetu Jagiellońskiego (1956), z zamiłowania wybrałam polonistykę. W Stanach, jak się to tutaj mówi, „nosiłam różne czapki”: pracowałam w polskich szkołach jako nauczycielka i kierowniczką. Sprawowałam funkcję prezesa i sekretarza Zrzeszenia Nauczycieli Polskich w Ameryce. Od 1985 roku jestem głównym redaktorem GŁOSU NAUCZYCIELA, kwartalnika nauczycieli polonijnych. W tzw. międzyczasie uzyskałam amerykańskie magisterium z bibliotekarstwa i pracowałam w tym zawodzie blisko 30 lat. W Chicagowskiej Bibliotece Publicznej przyczyniłam się do powstania polskich sekcji w bibliotekach dzielnicowych.

Przy pomocy wielu osób udało się nam również stworzyć polskie kluby dyskusyjne właśnie w Chicago, które działają od kilkunastu lat. W każdym roku Biblioteka zakupuje 12 tytułów w liczbie 10 egzemplarzy każdy, czyli 120 książek. Po upływie roku książki te zasilają zbiory dzielnicowych bibliotek, gdzie mogą je wypożyczać polscy czytelnicy. Ten mój krótki liścik kontynuuje niejako wspomnienia z cyklu „Polskie drogi”, które zamieściliście w ostatnim, czwartym numerze POD WIATR.

Polskę zawsze noszę w sercu i pamięci...

Dziękuję Państwu i pozdrawiam  
**Helena Ziółkowska**

**Z Estonii**

Szanowni Państwo  
 Bardzo dziękujemy za kolejny ciekawy numer Państwa wydawnictwa. Gratulujemy świetnych komentarzy i opisów, zbliżających do problemów naszych Rodaków z całego świata. Jest to również wydawnictwo ciekawe z punktu widzenia edukacyjnego. Zyczymy dalszych, interesujących wieści i serdecznie pozdrawiamy.

Z poważaniem  
**Wacław Oleksy**  
 Radca Minister Konsul RP w Tallinnie  
 Ambasada RP w Tallinie Estonia

**Z Rosji**

**Obiecay, że nie zapomnisz!**

Szanowny Panie Redaktorze,  
 Czytelnicy czasopisma POD WIATR!  
 Dla co dziesiątego żołnierza II Polskiego Korpusu Generała Andersa długa droga, która rozpoczęła się na ziemi buzułuckiej, zakończyła się u podnóża Monte Cassino. Śpią wiecznym snem na jednym z najpiękniejszych cmentarzy w Loreto i w samym Monte Cassino.

Nasze Orenburskie Obwodowe Kulturalno-Oświatowe Centrum „Czerwone Maki” nazywa się tak na cześć żołnierzy Armii Generała Władysława Andersa. Każdy Polak, gdziekolwiek by mieszkał, od dzieciństwa zna słowa pięknej pieśni II Korpusu, którego żołnierze zdobyli sobie sławę tak szaleńczo odważnych.

Głównym celem Polonii „Czerwone Maki” w Orenburgu, od początku jej powstania 18 maja 1995 r., było zachowanie w pamięci potomnych obrazu polskiego żołnierza, uporządkowanie i upamiętnienie miejsca pochówku żołnierzy polskich na terenie orenburskim – w Buzułuku, Kołtubanówce i Tockoje. To nasze patriotyczne zobowiązanie pamięci o tych żołnierzach, dla których nasza ziemia stała się ostatnim miejscem postoju. Są to bardzo ważne miejsca w historii Polski – symbole polskości, ponieważ w tych miejscowościach w latach 1941–1942 tworzyły się oddziały formującej się na buzułuckiej ziemi armii Generała Władysława Andersa. Przesyłam fragmenty tej historii pt. **Kwiaty pamięci**, zapisanej na podstawie rzeczywistych wydarzeń, wspomnień najstarszych mieszkańców, pamiętających pobyt w Kołtubanówce polskiego Generała Władysława Andersa w 1941–1942 r. Warto, by poznało ją młode pokolenie Polaków, a starsze – wspomniało raz jeszcze.

Panie Redaktorze, mimo tysięcy kilometrów, dzięki czasopismu POD WIATR mamy nadzieję nawiązać kontakt z Rodakami z różnych krajów, którzy chcą poznać historię formowania armii Generała Władysława Andersa na orenburskiej ziemi w latach 1941–1942.

Zwracamy się z apelem do wszystkich żyjących Kombatantów, którzy mogliby i chcieliby podzielić się historią swojego udziału w formowaniu armii Generała Andersa na terenie orenburskim z wielką prośbą o wspomnienia z tych czasów.

**Wanda Seliwanowska**  
 prezes Orenburskiego Obwodowego  
 Kulturalno-Oświatowego Centrum „Czerwone Maki”  
 wselivanovska@wp.pl

Od redakcji: „Kwiaty pamięci” zamieszczamy na stronach 6–7.





Grób pierwszego polskiego żołnierza zmarłego w Kołtubanówce.



Obóz wojskowy w Kołtubanówce – 1942 r.



Obóz wojskowy w Szirokowskim – listopad 1941 r.

# Kwiaty pamięci

## Kołtubanówka, zima 1942 r. Osada Szirokowskoje, obóz polskich żołnierzy w lesie

Mróż o takiej sile, jaka tylko jest możliwa w tym rejonie. Lodowaty wiatr mrozi twarz, przeszywając cię na wskroś. Zawszą słysząc dziwny hałas, jakby sama przyroda jęczała na tym złowieszczym zimnie. I tylko wysokie, stare sosny stoją dumnie, milcząco kołyszając swoimi ciężkimi gałęziami.

Wykopana ziemianka, umocniona drewnianymi deskami, ukryta wśród śnieżnych zasp. Wewnątrz, na drewnianej podłodze stoi okrągły żelazny piecyk, potrzaskujące drwa palą się. Wątki odbłask ognia oświetla ziemiankę, śpiących polskich żołnierzy.

I tylko jeden żołnierz nie śpi. Siedzi obok pieca, to przyciskając do piersi, to po prostu patrząc na fotografię i coś szepce po polsku. Na tej fotografii są jego żona i dzieci. „Moi kochani, mili, drodzy. Jak ja jestem daleko od Was, jak tęsknię, jak Was kocham! Wróć do Was, koniecznie wróć. Wierzę, że przeżyjemy te ciężkie lata, które nas rozłączyły i będziemy razem”.

– On zawsze nosił tę fotografię w kieszeni na piersi, pokazując ją wszystkim – opowiadała kobieta o imieniu Masza, pracująca wtedy jako kucharka w polskim obozie. Wspominała, że ten Polak miał liczną rodzinę – pięcioro dzieci. W obozie pomagał w kuchni, przynosił wodę i drwa. Był bardzo życzliwym człowiekiem i wszyscy żołnierze w obozie odnosili się do niego z szacunkiem. Później dowiedziała się, że zmarł z powodu przeziębienia tam, w obozie w osadzie Szirokowskoje. Kiedy go chowali w ziemi, mężczyźni włożyli fotografię do jego kieszeni na piersi. On nigdy z nią się nie rozstawał... Niestety, jego imię nie jest znane. Jego, jak i wiele innych imion, zatarł czas.

## Wspomnienia Chaligitowej Marii Wasiljewny, mieszkanki osady Kołtubanówka

– W latach wojny mieszkaliśmy w osadzie Kołtubanówka. Było nas w rodzinie czworo dzieci, półsierot. Nie mieliśmy mamy, zmarła z powodu choroby, a ojciec walczył na froncie, później zginął w 1945 roku w Niemczech. Mieszkaliśmy z babcią, która troszczyła się o nas. W naszym mieszkaniu jako sublokatorka mieszkała kobieta o imieniu Masza, która była Ukrainką. Ta kobieta pracowała w polskim obozie w osadzie Szirokowskoje jako kucharka.

Wiele opowiadała babci o polskich żołnierzach i my, dzieci, zawsze słuchaliśmy jej opowiadań o tym, jak było ciężko.

Opowiadała, że Polacy budowali wtedy most przez rzekę Borówkę, już było zimno i woda była lodowata. Wracali do obozu do pasa mokrzy, mieli bardzo złe obuwie, ubranie, które nie zdążyło wyschnąć i padali spać z powodu zmęczenia. Bardzo wielu żołnierzy umierało z przeziębienia. Kiedy oni trafili do obozu, byli już chorzy i bezsilni, byli źle ubrani w pozostałości porwanych starych szyneli, na głowach mieli furażerki, na nogach – znoszone obuwie. Jak można było w nasze kołtubanowskie mrozy przeżyć w takiej odzieży i jeszcze pracując codziennie na mrozie? Wyżywienie również było bardzo skromne. Gotowano zupę na wodzie z pro-

sem, a wiosną kapuśniak z pokrzy i szczawiu oraz postną kaszę z jęczmienia i prosa.

Ale Polacy zawsze gotowi byli podzielić się ostatnim pożywieniem: „Masz, weź to dzieciom!” – i ona przynosiła nam, dzieciom, kaszę. Głód wtedy dokuczał wszystkim, żyć było bardzo trudno. Pamiętam, jak babcia płakała, kiedy Masza przynosiła produkty z polskiego obozu. Tej strasznej zimy nie zapomnę nigdy. Było bardzo zimno, mróz dochodził do  $-45^{\circ}$ – $-50^{\circ}$ . Umierało bardzo wielu ludzi. Obok naszego domu, na starym cmentarzu, odbywały się pogrzeby. Pamiętam, że jako dzieci wybiegaliśmy na ulicę i pytaliśmy: „Kogo chowają?”. A ktoś ze starszych odpowiadał: „To polski żołnierz” lub „To nasz, kołtubanowski”. Wzdłuż ulicy stały kobiety i starszki wycierające łzy...

Było dwóch mężczyzn, Rosjan. Na koniach zaprzężonych do sań stała trumna, tych dwóch chowało w zamrzłej, skamieniałej ziemi w niewyobraźalnie ciężkich warunkach Rosjan i Polaków. My, dzieci, biegaliśmy za saniami do cmentarza, a czasami nawet pomagaliśmy chować żołnierzy. Dłubaliśmy, drażyliśmy zmarłą ziemię, czym mogliśmy. Obecnie, po upływie tylu lat, wspominając tę makabrę, mimowolnie myślisz o tym, skąd w nas, dzieciach wojny, było tyle siły i odwagi, w jaki sposób mogliśmy przeżyć to wszystko?

Kończąc swoje wspomnienie, Maria, Wasiljewna powiedziała takie słowa: – Za wszystkie męki i cierpienia, których doznali polscy żołnierze na tej ziemi, Bóg nie zapomni o nich. Wieczna będzie ich pamięć, śpijcie w spokoju. Chroni Was Pan.

\* \* \*

Długa zimowa noc, jakby cień ogromnego czarnego ptaka unoszącego się w dal. Ciemność. I oto już widać prześwity pierwszych porannych promieni chłodnego zimowego słońca. Wichura, śnieżycy, która tłuła się po lesie całą noc, nad ranem ucichła.

Zaczynał się nowy dzień. Co jest najtrudniejsze? Obudzić się ze snu i oprzytomnieć. Najtrudniej jest zaakceptować, przyjąć swoje położenie. Ostry ból nagle przypomina ci o tym, że jesteś jeszcze żywy. Mózg smutno zaczyna myśleć. Bez powodu zaczynaś wybierać w pamięci częściowo zapomniane wydarzenia z życia.

Ten daleki, słoneczny, szczęśliwy dzień chciałoby się wspominać na zawsze! Dosłownie kolorowe sny, radosne twarze bliskich, drogich ludzi, kobiecy i dziecięcy śmiech, jak czarodziejskie echo – tylko takie wspomnienia dają się żyć dalej! Inne – bezlitosne, złe realia. Inna pamięć – zatruta „jadowitą chimerą”, okrutną, straszną siłą, która decyduje o wszystkim, oczarowując ludzi, niczym stado bydła, nie oszczędzając nikogo, łamiąc losy milionów. Dlaczego? Za co? Nagle przemykają w pamięci twarze przyjaciół, zmarłych w chorobach i męczarniach w obozach radzieckich.

Dzięki tych kajdan i łańcuchów nie można nigdy zapomnieć! Wolność! Niemożliwe? Nie, nie wszystko jeszcze skończono! Następnie pociągi, przewożące nas na Ural. Nadzieja! Ona żyła w każdym z nas. Trzeba było tylko przeżyć, przeżyć ostatkiem sił. Każdy myślał o tym, jak uciec od bezsensownej, nikomu niepotrzebnej śmierci.

Tutaj, w kołtubanowskim lesie, przez tak wiele kolejnych dni każdy polski żołnierz walczył ze śmiercią. Nie na polu walki, nie chroniąc się od kul i pocisków,

ale opadając z sił od chłodu i głodu. Ale ta nieprzewidywalna chęć życia była w każdym. Przeżyć i walczyć za swoją wolność i za wolność swojego kraju, swojej rodziny, żon, dzieci i starców. Skąd brały się siły, nikt nie wiedział, ale my uśmiechaliśmy się, patrząc śmierci w oczy...

## Wspomnienia Pietuchowej Lubow Iwanowny, mieszkanki osady Kołtubanówka

– Urodziłam się w osadzie Szirokowskoje. Moi rodzice Mielnikow Iwan Stiepanowicz i Maria Iwanowna, ja i moja siostra mieszkaliśmy w niej do 1957 roku. W 1942 roku miałam 15 lat. W tym czasie w naszym domu kwaterowali polscy żołnierze. Prawdopodobnie byli to oficerowie polskiego dowództwa, ponieważ mundury były inne.

Pamiętam, że w naszym domu było wielu dowódców. Często przychodzili, siadali za stołem, rozmawiali, rozsądzały problemy. Pewnego razu naszą osadę miał odwiedzić bardzo ważny gość. Odczuwaliśmy, że wszyscy byli bardzo zdenerwowani, szczególnie polscy oficerowie. I oto, kiedy pojawił się, nie wiedzieliśmy, kim on jest, choć słyszeliśmy o przyjeździe wielkiego polskiego wojskowego komendanta, o tym, jak Polacy przygotowywali się w Szirokowskim do jego przyjazdu.

A potem zobaczyliśmy tego człowieka. Zapamiętałam, że był to wysoki, dobrze zbudowany, stateczny mężczyzna o dobrej prezencji, w długim płaszczu wojskowym. Witano go z wielkimi honorami. A później dowiedzieliśmy się, że to był sam generał Władysław Sikorski. Gdybyśmy wtedy wiedzieli, jakie znaczenie będą miały obecnie te wspomnienia... Ale wtedy, w tamtym czasie, będąc nieletnimi, nie wnikaliśmy w sprawy dorosłych, nie interesowaliśmy się i nie staraliśmy się zwracać uwagi na rozmowy o wojnie, po prostu dlatego, że baliśmy się...

Do naszych obowiązków z siostrą należało przygotowanie jedzenia w kuchni, sprzątanie domu. Pomagałyśmy mamie – nosiłyśmy drewno, myłyśmy podłogi. Dobrze zapamiętałam, jak Polacy odnosili się do faktu utrzymania w domu czystości. Szanowali naszą pracę. Pamiętam, że zdejmowali buty prawie na ulicy, nigdy nie zostawiali śladów na czystej podłodze, byli bardzo schludni. A my z siostrą wносиłyśmy ich obuwie do domu, ponieważ było zimno.

Lubow Iwanowna przez wiele lat chroniła w swej pamięci te wspomnienia. Nigdy o tym nikomu nie opowiadała. Syn Lubow Iwanowny – Pietuchow Władimir Pietrowicz dopiero w 1980 roku po raz pierwszy usłyszał od matki wspomnienia o latach wojny.

Władimir Pietrowicz opowiadał o tym, gdy jako młodzieńcy w Szirokowskoje często biegali bawić się w tych miejscach, gdzie wcześniej znajdował się polski obóz. Znajdowali tam pozostałości starych szyneli, zardzewiałe żelazne szczątki bagnatów, łuski od pocisków, metalowe tabliczki z wybitymi (polskimi?) tekstami.

A kiedy chowano jego krewnego w Szirokowskoje, kopiąc mogiłę, przypadkowo odnaleziono mogiłę żołnierza. Rozpoznano to po pozostałościach płaszcza wojskowego.

\* \* \*

Minęło ponad sześćdziesiąt pięć lat od tych dni.

O czym pamiętasz stary lesie? Co kryją twoje wiekowe sosny? Kto pozostał na zawsze pod twym opadłym listowiem? Czas nieubłaganie pędzi, zacierając ślady historii, ale pamięć jest żywa! Ona żyje w sercach ludzi, przekazywana z pokolenia na pokolenie. I my powinniśmy ją chronić, niczym drogi testament prawdziwych ludzkich cech, pozostawiony nam przez przodków.





Obóz wojskowy w Kołtubanówce. (Zdjęcia z 1941–1942 z archiwum Antoniego Tomiczka).



Kołtubanowski las – zdjęcie współczesne.

### Wspomnienia Kisieljowej Walentyny Iwanowny, mieszkanki osady Kołtubanówka

– Moi rodzice – Lipiendiny Walentyna Wasiljewna i Iwan Aleksiejewicz mieszkali w osadzie Szirokowskiej w latach wojny i do 1984 roku. Ja urodziłam się już po wojnie, ale w mojej pamięci wyraźnie zachowały się wspomnienia 12-letniej dziewczynki. To był 1967–1968 rok.

Jako dzieci biegaliśmy często bawić się w tych miejscach, gdzie w czasie wojny znajdowały się obozy wojskowe. Pamiętam, że rodzice zakazywali nam tego, nawet nie wolno było pytać o to, co tam było w czasie wojny, pytanie o Polaków było zakazane...

Obok Szirokowskiej, nieco kilometrów dalej, znajdowała się osada, w skład której wchodziło kilka domów. Nazywano to miejsce – Kardon. Dotąd dochodziła trasa od odcinka drogi kolejowej Buzułuk – Kołtubanówka. Tam, według słów starych mieszkańców, znajdował się najpierw polski obóz. Pewnego razu na naszą stację przyjechał pociąg. Ludzie wspominali, że była w nim łaznia i wagony z umundurowaniem. Polscy żołnierze otrzymywali wtedy nowe mundury, a swoje stare podarte szynele palili. Potem, w latach 1942–1943 kwaterowała tam radziecka jednostka wojskowa, gdzie przygotowywano artylerzystów (dlatego to miejsce nazywano jeszcze Strielbiszcze).

Bardzo dobrze zapamiętałam wszystko, co zachowało się wtedy na miejscu obozów wojskowych. Tam były stare, sypane się, zawalone ziemianki, ale dwie z nich pozostały całe (mówiono, że po wojnie przez jakiś czas mieszkaly tam dwie rodziny). Ziemianki były bardzo zrujnowane, baliśmy się tam zagładać, bo mógł zawalić się dach. Mimo wszystko dzieci są tylko dziećmi i ciekawość przeważała nad strachem. Pamiętam, wewnątrz jednej z ziemianek stał okrągły żelazny piec z kominem, wyprowadzonym przez dach na zewnątrz, zachował się drewniany stół, zamiast krzesel stały okrągłe pieńki, drewniane ławki zamiast łóżek.

Znajdowaliśmy w tych miejscach bardzo dużo starych rzeczy, kiedyś należących do żołnierzy: zardzewiały bagnet, pozostałości metalowej zastawy stołowej, łuski od pocisków, które garściami przynosiłam do domu, a mama za to bardzo mnie lajała. Takie zabawy mieliśmy my – powojenne dzieci z zupełnie niedziecięcymi zabawkami stanowiącymi echo wojny...

### Wspomnienia Sączuk Tamary Pawłowny

– Ja, Sączuk Tamara Pawłowna, mieszkałam w osadzie Kołtubanówka w latach wojny. Tutaj urodziłam się i przeżyłam całe swoje życie.

W czasie wojny miałam 12 lat. Pamiętam: trzech polskich wojskowych kwaterowało w naszym mieszkaniu. Jak zwracali się do siebie, niestety, nie pamiętam, minęło tyle lat, a imiona były polskie. Ale zapamiętałam dobrze, jak oni wyglądali: wszyscy trzej niewysokiego wzrostu, jasnowłose, niebieskie oczy.



Pomnik pamięci zmarłych w Kołtubanówce 13 oficerów i żołnierzy armii gen. Władysława Andersa (odslonięty 26.10.2013 r.)

Moja mama przygotowywała im posiłki. Myślę, że to nie byli zwykli żołnierze, a oficerowie, ponieważ mogli pozwolić sobie na kupno produktów, nawet cukru i mięsa, co w tym czasie było rzadkością. I zawsze, zawsze zapraszali nas do stołu! Dzieliłi się z nami praktycznie wszystkim, co mieli, częstując nas, dzieci, które zwykle były głodne... To byli wspaniali, bardzo dobrzy ludzie. Rozmawiali z nami i pamiętam, że po rosyjsku, ale oczywiście z silnym polskim akcentem. Jeszcze zapamiętałam, że mieli bardzo złą odzież, cierpieli z powodu zimy. Wtedy znalazłyśmy z mamą stare ojcowskie walonki, oddawaliśmy im szaliki, rękawice i inne ciepłe rzeczy.

### Wspomnienia Gorszkowej Wiery Konstantinowny, mieszkanki osady Kołtubanówka

– Kiedy zaczęła się wojna, uczyłam się w piątej klasie. Szkoła nasza znajdowała się wtedy w budynku na ulicy Komsomolskiej (teraz jest tam wielomieszkaniowy dom). Zimą 1941 roku przeniesiono nas, uczniów, do innej szkoły w centrum osady, a w tym budynku otwarto szpital wojskowy dla chorych i rannych. Uczyliśmy się wtedy na trzy zmiany, uczniów było bardzo wielu. Z okien szkoły, w centrum osady widoczny był rynek i zbity z desek budynek. Później Polacy, którzy znajdowali się w Kołtubanówce, zorganizowali w tym budynku kościół. Wyposażyli go według swoich możliwości, postawili drewniane ławki i odwiedzali to miejsce w celu modlitwy. My, dzieci, z okna szkoły często widzieliśmy polskich wojskowych.

Pewnego razu zobaczyliśmy kobiety. Od razu pomyśleliśmy, że to żony polskich wojskowych, które przyjechały do swoich mężów do Kołtubanówki. Potem przychodziły one na modlitwę do kościoła razem ze swoimi mężami. Nie patrząc na to, że toczyła się wojna, był głód, nie było obuwia i odzieży (a polscy żołnierze w Kołtubanówce mieli bardzo skromne warunki, cierpieli nędzę), nie zapomnieli o religii i tradycjach swojego narodu.

### Wspomnienia Grabskiego Antoniego Wikientiewicza

– Urodziłem się we wsi Butki, powiat łęczycki, województwo łódzkie w rodzinie parobka 16 września 1913 roku, narodowości polskiej. Wcześniej zostałem osierocony i pracowałem jako najmita; pasiałem bydło, rąbałem drewno. Kiedy podrostem (ok. 9 lat), dziadec wziął mnie do siebie do pracy jako pastucha. Potem zacząłem pracować w cegielni.

W 1939 roku Niemcy napadli na Polskę. Było wielu uciekinierów, nas zapakowali do wagonów towarowych i wysłali do Komi w ZSRR. Kiedy zaczęła formować się polska armia, przywieźli nas do Buzułuku i utworzyli komisję lekarską, której nie przeszedłem. Rozpocząłem pracę na stacji Kołtubanówka w dziale przygotowawczym

i byłem w nim do końca wojny. Razem ze mną pracowało wielu Polaków. Zostali oni zmobilizowani tak jak ja. Przyjechali do Kołtubanówki wiosną 1941 roku. Przywieziono ich do wyrębu lasu, z którego drzewa wozili do tartaku w celu przerobu na deski (w Kołtubanówce była rozcinająca rama), a potem drewno ładowali na wagony i wysyłali według potrzeb. Ubrani byli w przypadkową odzież, żywność im wydawali w pracy. Jeszcze budowali oni most na rzece Borówka, przez który wozili drewno.

W czasie formowania armii polskiej pomagaliśmy, jak kto mógł, aby powstała polska dywizja: oddawaliśmy obligacje, pieniądze. Jeździliśmy do ambasady polskiej do miasta Samary (wtedy miasto Kujbyszew) i tam również nam pomagali, jak mogli. Ja otrzymałem wojskowe buty i czapkę. Z Kujbyszewa przyjechałem w butach, nie bosy.

Zmobilizowani systematycznie w niedziele chodzili do cerkwi modlić się. Kiedyś jedna babcia dała mi polski krzyż, w jej mieszkaniu kwaterowali Polacy i zostawili w nim krzyż. Latem 1942 roku Polaków w Kołtubanówce już nie było...

Tak się słożyło, że Antoni Wikientiewicz Grabski – obywatel polski, pozostał w Kołtubanówce i spędził tutaj całe swoje życie. W pamięci wdowy Jefrosinji Iwanowny i córki Walentyny, pozostał dobrym, uczynnym i troskliwym mężem i ojcem. Po zakończeniu wojny Antoni Wikientiewicz podjął pracę w kołtubanowskim leśnictwie, gdzie sumiennie pracował do emerytury. Został nagrodzony licznymi wyróżnieniami i medalami. Tak potoczyły się losy polskiego żołnierza w rosyjskiej osadzie. Jego życie to wzór prawdziwego, sumiennego pracownika i wspaniałego serdecznego człowieka.

\* \* \*

W kołtubanowskim lesie wiosną rozkwitają przebiśniegi. Sasanki to dziwne, niezwykle kwiaty. Ich kruche kielki przebijają się do słonecznego światła, gdy w lesie miejscami jeszcze leży śnieg. Ale ile bohaterstwa i siły jest w tych skromnych płatkach. Każdej wiosny rozkwitają one, rozsypując swoje turkusowe pączki na polanach i łąkach, jakby w dowód pamięci o tych bohaterkich ludziach, którzy wiele lat temu, tutaj, w tych miejscach, na przekór wszystkim surowym niedolom, potrafili wytrwać. Pokonując w sobie wszystkie ludzkie możliwości, zwyciężając śmiertelne choroby, mogli oni ciepłem swoich serc roztopić śnieżne okrycia. K w i a t y p a m i ę c i...

Odważni bohaterowie tych dalekich dni, gdzie jesteście teraz? Kto nam opowie? Może ktoś na zawsze pozostał tutaj i śpi wiecznym snem pod cichym szumem sosen i brzoź, pod pieśnią ptasich stad. A ktoś swoją drogę zakończył w dalekim włoskim miasteczku Monte Cassino. Tam pod niebieskim i jasnym niebem, na słonecznej polanie, ciepły wiatr kołysze szkarłatne maki. Maki są kolorem krwi, kwiaty zachowały w swojej pamięci te okrutne walki, w których padli odważni polscy żołnierze. Jaki trudny i tragiczny był wasz długi marsz, rozpoczynający się na kołtubanowskiej ziemi...

Pewnego razu, w czasie wiosennego majowego dnia, jasnowłose, niebieskooki chłopiec swoją delikatną dziecięcą rączką położył bukiecik z kwiatów na chłodnej marmurowej płycie. I swawolnie, szybko, niczym wiatr ucieknął gdzieś do swego szczęśliwego kraju dzieciństwa. Kto wie, może dla takiej jednej chwili nie było szkoda umierać...

osada Kołtubanówka, rejon buzułucki

Napisano na podstawie wspomnień starych mieszkańców osady zebranych przez uczniów szkoły we wsi Kołtubanówka\*

Zdjęcia współczesne z archiwum Centrum „Czerwone Maki”.

\* Praca młodzieży polonijniej z Rosji z Obwodu Orenburskiego, rejonu buzułuckiego, wsi Kołtubanówka otrzymała I miejsce w VI ogólnopolskim konkursie „Arsenał Pamięci 2007” (Łódź). Osiem dziewcząt uczestniczących w gromadzeniu wspomnień przyjechało do Polski na zaproszenie organizatorów konkursu.



Młodzież podczas uroczystości odsłonięcia pomnika.



Uroczystości Dnia Polskiego Żołnierza w leśnictwie Szirokowskiej, w miejscu historycznego pochówku zmarłych oficerów i żołnierzy polskich.



# Witryna Literacka

POD WIATR. Tak cały zespół redakcyjny, wszyscy jego współpracownicy i przyjaciele zaczęli i tak szli przez przeszło dwadzieścia lat. Nie chcieli żadnych ułatwień, punktów, promocji. Żadnych bonusów. Damy radę – pod wiatr! W tym krótkim określeniu zamyka się wszystko, co świadczy o indywidualności, oryginalności i osobliwości naszego młodzieżowego czasopisma.

## Zdefiniowani

Można by dziś wspominać i zestawiać sukcesy literackie młodych autorów, nie tylko Witryny, relacjonować ich niebanalne i fascynujące przygody artystyczne, niezwykle entuzjazm i rozkochanie w twórczym wysiłku. Na pewno te kwestie nie umknęły uwadze czytelników, pozostawiły widoczny ślad i znajdują swe odbicie w rzetelnej, czasopiśmienniczej dokumentacji. Inni zapaleńcy będą tu już czynni. Ale nie da się nie spostrzec, że azymut, za jakim odważnie podążali obecni na łamach POD WIATR, ustawiony był w jednym kierunku. Zawsze o jakimś człowieku, który zachwycił, o miejscu, które oczarowało, o wydarzeniach świetnych, barwnych, musujących jak szampan.

Realizm, bezpośredniość, humor, żywość stylu, prostota, plastyka obrazów i postaci, śmiałość myśli i delikatność uczuć – to ścieżki i drogi, jakimi starali się nasi autorzy zbliżyć do swoich czytelników. Odwzorowywali swoje urzeczenia, zniewolenia, swoje odkrycia różnorodności i bogactwa materii życia. I odzew ze wszystkich stron świata jeszcze bardziej ich mobilizował.

Zaskakujące, nieoczekiwane, dobre, wartościowe – to stanowiło źródło autorskiej mocy. Nadawcy tekstów nie rejterowali przed szlabanami, granicami, zakazami. I odwrotnie. Nic, co nudne, obojętne, nie miało prawo wstępu na łamy.

POD WIATR. To jest nasze i naszych autorów życie.

Zygfryd Szukaj  
lystopad@interia.pl



fot. Robert Sawicki

Agnieszka Wróblewska I. 19

### Pisklę

Szamotało się pisklę  
Po omacku przemierzając  
Wnętrze wapiennego więzienia  
Każdego dnia wyczekując  
Przytłumionych odgłosów  
z prawdziwego świata  
Wierciło długo i niecierpliwie  
Łomotało głową w skorupkę  
Zbyt słabe to było pukanie  
By skruszyć powłokę  
Zbyt ciche  
By ktoś mógł przypuszczać  
Że wewnątrz idealnego jaja  
Skrzywa coś różnego od  
Kuli nabrzmiałej żółtkiem  
Unieruchomionej przez białkowe  
skrzętki

Szamotało się pisklę  
Kwiliło długo, przesadnie  
Zbyt ciche to były skargi  
Zbyt wątłe pragnienia

Pęczniało jajo od nadmiaru  
Łkań i narzekań  
Ostatkiem sił udając niewzruszenie  
W milczącym wyrachowaniu  
Scalając wapienną strukturę  
Wreszcie uderzenie skrzydłem  
Sprawiło, że zatrzęsło  
Się czarne sklepienie  
Przez szczeliny rozwarte  
Coraz szersze pęknięcia  
Wdarła się smuga oślepiającego  
światła

Do zamkniętego w swej elipsie ładu  
Wtargnęła chłód wszechświata  
Penetrując zakamarki wydmuszki

Szamocze się pisklę  
Wśród pokruszonych  
Fragmentów  
Wrogich  
Ostro zakończonych krawędzi  
Porozrywanych szczątków jaja  
Kwili zbyt cicho  
I nie ma już o co łomotać  
Zwichniętym skrzydłem  
Próbuje posklejać

### Świąteczne przygotowania

*So this is Christmas  
And what have you done*  
„Happy Xmas”,  
John Lennon

21 grudnia 2011 r.,  
Afganistan, prowincja Ghazni

talibowie  
mina pułapka  
eksplozja  
ciemność

świąteczne przygotowania

to zadziwiające że w 4 słowach  
37 literach  
14 sylabach  
można zawrzeć  
tragedię czyjegoś życia

22 grudnia 2011 r., Polska  
premier  
kondolencje  
helikopter  
trumny z flagami

gdzieś publikują słowa premiera  
*strasznie smutna chwila  
ale taka bywa wasza żołnierska dola*

ktos mądry w telewizji  
mówi jak zapobiegać  
podobnym wypadkom  
że to mogło być wynikiem zaniedbania

można zapobiegać  
wcześniej wykrywając ładunki  
można zapobiegać  
i być szybszym od nieprzyjaciela

takie śmiertelne zawody  
na sprostregawczość

i nikt już nie pyta  
jak zapobiegać  
żeby człowiek nie zabijał  
z premedytacją człowieka

23 grudnia 2011 r., świat  
tyle wystarczy  
żeby zapomnieć  
w końcu  
to wojna

24 grudnia 2011 r.  
na stole 12 potraw  
choinka  
prezenty  
pasterka  
kolędy  
sąsiad biega w czerwonym przebraniu  
jak co roku

i tylko w 5 domach  
brakuje 5 mężów  
brakuje 5 ojców  
brakuje 5 synów  
i są 2 wolne miejsca przy stole

Emilia Wolska I. 18

### Z dzieciństwa

Między tysiącami liter  
rzekami słów  
na łące marzeń  
pośród urwanych wersów  
postrzępionych strof  
mieszkam  
Zamykam w dłoni mój świat  
jak motyla  
bezbrownego malutkiego  
mój świat niespodziewanie urósł  
jest wielki  
ale mogę go zamknąć  
w maleńkiej dłoni





Czyszczenie sieci.

mal. Zygmunt Kowalski, Posadas, Misiones, Argentyna

Za oknem zimno i pada śnieg. Stoję tu, w szatni – sam. I pomyśleć, że kilka miesięcy temu byłem tam – nigdzie.

– Johnny, już czas, jesteś gotowy? – spytał trener niepewnie.

– Jasne. Tak tylko myślałem – uśmiechnąłem się do siebie.

– No to chodź. Wyjdź tam i pokaż, na co cię stać. Na widowni jest twoja dziewczyna.

Bez wahania wyszedłem z szatni na ring. Publiczność szalała, a trener, no cóż... Było widać, że denerwuje się tak samo jak ja. Walka trwa. Jest remis. Jeszcze tylko jedna runda i będzie wiadomo, kto zostanie mistrzem świata juniorów.

Usłyszałem ostatni gong i zdenerwowałem się jeszcze bardziej. Zaczęła się ostatnia runda. Przez dłuższą chwilę patrzyliśmy na siebie z pewnej odległości, a gdy uznałem, że jest gotowy, uderzyłem go ciosem w korpus, a potem dostał podbródkowym. Widownia wstała. Rockson upadł, ale po chwili stał już nade mną. Dostałem prawym sierpowym. Leżałem, nie wstanę, bałem się. Ale usłyszałem głos trenera.

– Wstawaj. Chłopie, tchórzysz. Nie zawiedź mnie.

Sędzia zaczął liczyć.

– 1... 2... 3... 4... 5... 6...

– Nie.

Wstałem. Spojrzałem na Anię. Jej oczy dały mi moc.

– Nie jestem tchórzem. Jestem... Uderzyłem przeciwnika lewym, a potem prawym sierpowym.

– Jestem mistrzem.

Trener w pierwszej chwili nie uwierzył. Podbiegł do mnie ze łzami w oczach. Kilku mężczyzn podniosło mnie. W rękę trzymałem puchar.

– Jestem... mistrzem. Powtórzyłem to ze trzy razy. Widownia skandowała moje imię. Zewsząd słychać było: Joh-ny. Joh-ny! Wszyscy krzykali i cieszyli się razem ze mną.

## Mistrz

A wszystko zaczęło się w lipcu zeszłego roku.

Był ciepły, dżdżysty wieczór. Szedłem ulicą. Korba mi kazała. Nie chciałem iść. Z Korbą nie ma żartów. Miałem znaleźć samochód, w którym ktoś zostawił radio. Znalazłem czarne suzuki z radiem w środku. Wybiłem szybę i zabrałem je.

Niespodziewanie usłyszałem ostry głos.

– Co robisz z moim radiem?

Stał przy mnie rosły mężczyzna, wykręcił mi rękę. Był silny.

– Jesteś sam? – indagował zdenerwowany.

Potwierdziłem. Puścił mnie i upadłem.

– Chodź! – krzyknął. Zaprowadził mnie do budynku, który był klubem bokserkim. Ten facet z szorstkim podbródkiem i spojrzeniem, które przeszywało na wskroś, okazał się trenerem. W jego biurze wzdłuż ścian stały regały z mnóstwem pucharów. Wszędzie wisiły medale i zdjęcia. Same sławy. Na biurku stało największe, patrzyli z niego bokserzy. Między nimi dojrzałem mistrza świata Rocksona. Każdy z nas chciał być taki jak on. Odważny i niepokonany.

– Wiesz, że mogę zgłosić na policję, że okradasz auta? Trafisz do więzienia. Ile masz lat – pytał stanowczo.

– Szesnaście.

– Czemu to zrobiłeś?

Nie powiedziałem, że kradnę radia dla Korby, żeby dał mi trochę grosza. Nie powiedziałem, że nie chcę tego robić. Nie będę. Mam ojca alkoholika, utrzymuję go, a matka nie żyje.

– Dobra. Będziesz sprzątał w moim klubie.

Jest robota, jaka radość. Co miałem wybrzydzać, zgodziłem się natychmiast. Z wdzięcznością... W wolnych chwilach ukradkiem patrzyłem, jak zawodnicy walczą na ringu. To było niesamowite.

Minęły dwa miesiące.

Pewnego dnia, jak zwykle, po szkole poszedłem sprzątać. Zaprosiłem Anię, bo wiedziałem, że będziemy sami.

Wszedłem na salę treningową. Była ogromna. Chciałem spróbować. Naprzeciwko dumnie połyskiwały przyrządy do ćwiczeń. Ania zawiesiła się na drabinkach i obserwowała mnie. Na wprost wejścia wisiło dziesięć worków treningowych. Kilka razy w nie uderzałem. Potem wszedłem na ring i zacząłem walczyć z bokserem, którego sobie wymyśliłem.

– Dawaj Johnny! – krzyczałem, jakbym był trenerem. Ania klaskała.

Zacząłem biegać po ringu jak wariat. Nawet nie wiedziałem, kiedy do sali wszedł ten prawdziwy. Śmiał się, ale nie ironicznie, krytycznie. Z aprobatą, czułem to..

– Przepraszam, chciałem spróbować.

– Próbuje, przyjmuję cię do klubu – zdecydował.

Parę tygodni potem miałem pierwszą walkę. Byłem zawodnikiem, pokonałem zło w sobie. Stałem do szlachetnej walki. Patrick mógł ze mną wygrać. Ale oberwał prostym podbródkowym i cios w korpus. Po chwili leżał na łopatkach. Spojrzałem na trenera. Pokiwał głową.

– Johnny, już czas. Będziesz walczył z Rocksonem.

Bez wahania wyszedłem z szatni na ring. Widziałem Anię w pierwszym rzędzie i zdenerwowanego trenera. Rozległ się gong.

## Wiersze z Ukrainy

Nazywam się Bohdana Lawrynczuk. Mam 18 lat. Jestem z Ukrainy, teraz studiuje w Polsce, w Bydgoszczy. Bardzo podoba mi się tutaj. Lubię czytać książki, podróżować, stale poznawać coś nowego. Lubię pisać wiersze. Piszę je w językach ukraińskim, rosyjskim i polskim. Przesyłam trzy moje utwory z nadzieją, że spodobają się Wam.

## Ukraina

Ukraina – to cichy szept zielonej doliny, śmiech świeżej trawy, czerwonej kaliny, ciepłego ranka, różowego wschodu, tkliwy pocałunek południowego Bugu.

Ukraina – to złota pszenica, wyjątkowa piosenka małego słowika. To ziemia płodna, to plon bogaty, to barwy wiosenne, to czule kwiaty.

Ukraina – to morza głębokie, burzliwe rzeki, to góry wysokie, gęste lasy, gwiazdy dalekie, piękne miasta, miasteczka przyjemne.

Ukraina – to śpiewająca mowa, pracujący ludzie, to ciepła rozmowa, gościnność, miłość, pieśń wesola, dziecka uśmiech, to szczerza modlitwa do Boga.

## Deszcz

Deszcz pada, pada i pada  
Samotnie, miękko i tak cicho,  
Zostawia, zostawia, zostawia  
Przy tym cząsteczkę siebie nam.

Deszcz szepcze, szepcze i szepcze  
O różnych sekretach swoich.  
On płacze, płacze i płacze  
Kropelkami swoimi za winy nie swoje.

Deszcz płynie, płynie i płynie  
Nad pięknym miastem moim.  
On tworzy, rysuje, maluje  
Tę wiosnę pędzlem swoim.

## Czas

Czemu tak szybko mija czas,  
Dlaczego on tak pędzi, płynie,  
Nie chce zostać obok nas:  
Przedłużyć nam nasze istnienie.

Co było już i jeszcze będzie:  
Tęsknota radość ból i szczęście,  
Od nas nie zależy to wszystko –  
Ponieważ czas sam poukłada rzeczy...



## Czajnik

**N**a strychu znalazłem czajnik – oblepiony tłuszczem, kurzem, wórami i wyschłymi pozostałościami po mrówkach. Gdy tylko go ujrzałem, zapragnąłem napić się gorącej herbaty. Wydobyłem więc naczynie spod sterty starych gazet, spleśniałych drewnianych płyt i zniosłem je do kuchni. Tam umyłem w gorącej wodzie, wielokrotnie przepłukałem, wypolerowałem, wypucowałem, wyszczotkowałem... I gdy woda już się zagotowała, a w mieszkaniu rozległo się przenikliwe gwizdanie – z czajnika wylazła jakaś łysa i gruba błękitna istota bez nóg i z kozią brodką.

– Eee... – przywitałem to coś, stojąc bez ruchu w progu kuchni, a gdy mój tajemniczy czajnikowy gość wydał z siebie parę niezrozumiałych dla mnie odgłosów, zapytałem w podobnym, co poprzednio, tonie: – Eee?

Istota zmierzyła mnie wzrokiem, podrapała się po brodzie, zmarszczyła brwi i zaczęła mówić. Po dłuższym przysłuchiwaniu się jej opowieści stwierdziłem, że mówi w języku arabskim. Gestykulowała przy tym namiętnie, składała przezrocyste dłonie, a to mrużyła, a to wytrzeszczała oczy, nadymała się, to znów kurczyła, sięgała czołem sufitu, by chwilę później schować się w całości do czajnika. Ten dziwny taniec trwał dobrych parę minut.

– Nie rozumiem – wybełkotałem w końcu. – O czym ty do mnie mówisz? – po czym wróciłem do wcześniejszej, sprawdzonej już kwestii: – Eee...?

Czajnikowy przybysz zamilkł i znieruchomiał. Unosił się teraz w powietrzu ze skrzyżowanymi na piersiach rękoma i patrzył na mnie spode łba. Po czym znów wypowiedział parę słów.

– Nic nie rozumiem – mruknąłem nieco zażenowany. – Mów po polsku! – Życzenie spełnione! – ryknęła ta błękitnawa chmurka unosząca się

nad kuchenką. – Ale słuchaj... Czy mógłbyś wyłączyć gaz. Okropnie mnie piecze ta wrząca woda.

Rzuciłem się od razu do pokręta. – Ach – westchnął beznogi i wyciągnął ręce do sufitu. Coś w nim trzasnęło. – Tak lepiej.

– Coś za jeden? – spytałem. – Przecież już ci opowiedziałem! – oburzył się. Po chwili jednak uśmiechnął się, pochylił i z wyciągniętą ku mnie dłonią wrzasnął: – Dżin jestem!

Przewróciłem się z trzaskiem na podłogę. Na mnie przewróciło się krzesło. Ze stołu spadł garnek.

– No nieźle – powiedział do siebie Dżin. – Miło było cię poznać i wdzięczny jestem, że wolność mi zwróciłeś, ale... tak... eee... jak to się mówi: hajda, wišta wio, już lecę!

– Tak się nie mówi – odrzekłem, próbując powstać.

– Mniejsza z tym. Sens mojej przemowy chyba do ciebie dotarł, jak wnoszę po tej nieco zawiedzionej minie.

– No tak! Skoro jesteś Dżinem, spełnisz moje trzy życzenia!

Dżin zmierzył mnie pełnym oburzenia wzrokiem.

– Nie jestem złotą rybką! – burknął. – Pomyliłeś, bracie, kręgi kulturowe! Jedno życzenie spełniam. Jedno, bratku! A twoje zdażyłem już spełnić.

I zniknął w wywietrzniku, zanim zdołałem pomyśleć, że takie odejście byłoby bardzo nieuprzejmie z jego strony. Pozostałem na środku kuchni z garmkim na głowie.

– Eee! – krzyknąłem jeszcze.

Czajnik zaśmiał się cicho, dostał skrzydeł i wyfrunął przez okno.

Parę dni później widziałem, jak wyjadał stoninę sikorkom. Następnie jednak słuch o nim zaginął. Widziano go ponoć jeszcze, jak krążył z rybitwami nad morzem, aż pewnego dnia opuścił te ziemie i zniknął za horyzontem. Dżin zaś zapadł w piaski pustyni, uwięziony przez jakąś podstępą lampę...

Kamil Mikietyński I. 21

## Słowa mają wartość!

**Z**nasz to uczucie? Otula cię ciepło wieczoru. Za oknem półmrok i nikłe światło latarni. Zamykasz oczy. I nagle czegoś łkniesz. Potok myśli przebiega przez głowę. Krąży. Bez ustanku. Poczuj to. Uwolnij je w sobie.

Jaką wartość w dzisiejszym świecie mają słowa przelane na papier? Kilka stron zapisanych zupełnie bez sensu. Coraz mniej warte. Nie znaczą nic. W dobie komputerów, tabletów, telefonów. Przyszedł SMS! O, i następny! Urywa się dzwonek telefonu. W poczekalniach, szkołach. Miejscach niegdyś tętniących rozmową, śmiechem, gwarem. Więc taką wartość w dzisiejszym świecie mają prawdziwe słowa? Oderwij się. Choć na chwilę. Odetchnij. Usiądź. Zacztyj się. Zatrąć w świecie przewijającym się na kartach książek. Choć przez chwilę. Poczuj to.

Aż 56 procent Polaków nie zagłąda do żadnych książek! Pięć-

dziesiąt sześć. 46 procent nie czyta choćby najkrótszych tekstów, artykułów lub opowiadań. Książek nie czytają nawet najlepiej wykształceni. Ci, których uważaliśmy za autorytety... Badania Biblioteki Narodowej są szokujące. A więc teraz, gdy książki mamy na wyciągnięcie ręki, nie potrafimy docenić ich wartości. Zadając różne pytania, odpowiedzi sprowadzają się do jednego: „Książki są nudne. Zbyt długie...”. Słyszane na każdym kroku. To takie przykre... Młodzież stroni od lektur. Wzbrania się przed nimi za wszelką cenę. Tymczasem w nich znajdziesz to, czego szukasz. Fantastyka, kryminał, science-fiction... Co wybierzesz?

One czekają. I czekać będą. Aż sięgniesz do nich. Zatracisz się. Zapomnisz. Zasmakujesz innego świata. Można by rzec – lepszego. Nie ograniczajmy się do kilku wypowiedzianych słów. Czytajmy,

poszerzajmy wiedzę. Wychowani jedynie przez „szklany ekran” funkcjonujemy jak roboty. Zupełnie inaczej. Jesteśmy ludźmi. Zasługujemy na więcej. Dużo więcej. Przeprowadzone badania zatważają. Wykresy zastraszają. A wystarczy naprawdę niewiele. Pół godziny dziennie. Poczytaj. Kilka stron.

Książki wzbogacają słownictwo. Rozwijają wyobraźnię. Poszerzają wiedzę. Dlaczego więc tak trudno nam po nie sięgnąć? Książki kucharskie, magazyny, słowniki. Książki młodzieżowe, dla dzieci i literatura naukowa. Każdy znajdzie coś dla siebie. Gwarantuję. Biblioteki nie straszą. Daj więc się zachęcić do przeczytania choćby jednej książki. Nie dziś. Nie jutro. Kiedykolwiek. Zrób to. Zanim wszyscy staniemy się ograniczeni, głupi, bezmyślni. Słowa mają wartość. Naprawdę. Pieczętnym więc to, co wartościowe. Dla siebie, dla przyszłych pokoleń. Wyciągnij rękę. Czytaj.

Marta Chrzan I. 16

Kasper Marcinia I. 20

### Niemoc linoskoczka

Na cokole przed teatrem  
ludzie chodzą krzyczą  
spacerują  
z psami asfaltowymi alejkami  
Łuczniczka nieporuszona  
stoi z miną marsową  
Łuk w ręku  
gwaru się nie boi prawie wiek  
tak stoi  
Czeka na przyjaciela  
co zmierza po cienkiej linie  
Nad bliską rzeką balustrady  
mostu oddychają  
cieplem przechodniów  
drżą  
czy linoskoczek utrzyma  
równowagę  
Dosięgnie Brdy brzegu  
Rzuci linę Łuczniczce z cokołu  
Z serca swojego  
i ludzi



■ **Marta Ł.**, Bydgoszcz – Dzięki za szybką reakcję na zaproszenie do współpracy. Opowiadanie *Mistrz* jest na łamach. To już wyższa szkoła jazdy, umiejętność operowania kreacją narratora, wyposażenie go w charakterystyczne i przekonujące cechy. Czyha tu jednak

niebezpieczeństwo: ograniczenie się do stereotypu, kliszy, banału. Miej to na uwadze. Tekst SF *Zwijanie* czeka na druk. Z ciekawością będę oczekiwał kolejnych utworów prozatorskich.

■ **Sylvia O.**, Toruń – Twoje obawy przed pokazaniem swoich wierszy są całkiem nieuzasadnione. Nawet więcej, nie jesteś w takich lękach odosobniona. Wybitni poeci polscy i światowi, nawet u szczytu sławy, przeżywali podobne rozterki. Wisława Szymborska uważała, że największym przyjacielem jej

twórczości jest... kosz. Bliscy wydobywali z niego ukradkiem wiersze i ukrywali przed autorką. Genialny poeta Kawafis odmawiał publikacji tomików, swoje wiersze rozdawał kilku najbliższym do czytania. Tym bardziej uważnie i z sympatią poznawałem Twoje utwory. Mają w sobie dużo autentyczności. Czytaj nasze pismo, bo niedługo będą miały więcej takich czytelników.

■ **Kasper M.**, Bydgoszcz – Tematyka bydgoska, szerzej regionalna, rzadko znajduje uznanie wśród miejscowych twórców. Odnajdziesz

teraz w dobrej bibliotece wydany niedawno zbiorek wierszy o Bydgoszczy. Tymczasem tacy poeci jak Tuwim, Staff, Miłosz poświęcali najpiękniejsze strofy miejscom swego dzieciństwa i młodości: Warszawie i Wilnu. Cieszy mnie, że Ciebie też inspiruje ta tematyka. Zachęcam do kontynuacji i poszukiwań ciekawych bydgoskich motywów. Moja rada: unikaj dosłownych relacji, powiedz to samo, ale przez metaforę. Czekam niecierpliwie na nowe wiersze.

Zygfryd Szukaj  
lystopad@interia.pl



21 lat POD WIATR – wspomnienie z cyklu: Kartka z podróży



# Herbatka u Maurice'a Ravela

Monfort l'Amaury.

Z pozoru nic nadzwyczajnego. Niewielki budynek przy 5 rue..., 78490. Monfort l'Amaury – miasteczko położone niedaleko Paryża. Na drzwiach widnieje tabliczka *Musee de Maurice Ravel, visites guidees sur rendez vous* (Muzeum Maurice'a Ravela, wizyty z przewodnikiem po uprzednim zawiadomieniu). „Przyjmujemy maksymalnie siedem osób”.

\*\*\*

Wita mnie sympatyczna Francuzka. Nieco ekscentryczna, ale to artystka! M<sup>me</sup> Claudel zaprasza do środka aż pięciu turystów (czterech Francuzów i mnie)!

– *Bonjour!* (dzień dobry) – krzyczy od progu – *Entrez, s'il vous plait...* (proszę, wejdźcie) – zachęca.

W jednej chwili przenoszę się w niezwykłą atmosferę urokliwego miejsca, jakim jest dom francuskiego kompozytora.

Maurice Ravel urodził się w 1875, a zmarł w 1937 roku. Komponował opery, utwory orkiestrowe, fortepianowe, wokally-instrumentalne, pieśni. Twórca niezapomnianego „Bolera” oraz m.in. „Hiszpańskiej rapsodii” (*Rapsodie Espagnole*), „Mojej matki gęsi” (*Ma mere l'oie*), baletu „Dafnis i Chloe” (*Daphnie et Chloe*). Postać znana każdemu wielbicielowi kompozycji impresjonistycznych. Muzyka początku XX wieku zawdzięcza Ravelowi wiele innowacji w uzyskaniu nowych możliwości brzmieniowych fortepianu. Malownicze, pełne harmonii dzieła są jak ich twórca – tajemnicze, a zarazem bogate w siły witalne.

– *Attention, mademoiselle...!* (proszę uważać, panienko) – ostrzega mnie M<sup>me</sup> Claudel – tu jest tak mało miejsca – wyjaśnia.

Owszem, pomieszczenie jest niewielkie, ale jakże przytulne. Stylowe meble, czerwone krzesła à la Ludwik XVI. Och, jak ci Francuzi kochają antyki!

– Muszę państwu wyznać, że Ravel sam urządził dom, kiedy przeprowadził się do tego miasta w 1921 roku po śmierci matki i ślubie swego brata, Edouarda – kreśli losy kompozytora przewodniczka. – Muzyk pragnął pozostać blisko Paryża, ale szukał zarazem spokojnego i urokliwego miejsca. *Voilà...* odnalazł właśnie Monfort l'Amaury – kończy z uśmiechem miła pani.

\*\*\*

Przyglądam się impresjonistycznym obrazom pędzla Ravela. Mój wzrok przykuwa bogata biblioteka. Taki był Maurice Ravel – zakochany w sztuce, subtelny, ciekawy świata.

– Niestety, nie spotyka się już takich dżentelmenów, do jakich należał Maurice – wzdycha M<sup>me</sup> Claudel. *C'est dommage...!* (szkoda...). Dodam jeszcze, że muzyk był kawalerem. Hm..., chyba nie miał szczęścia w miłości...?!

Madame zapala zabytkowe lampki. Ciemne pomieszczenie momentalnie wypełnia blask światła.

Trwa podróż po magicznym świecie Ravela. Pod nogami skrzypią deski podłogi. W powietrzu unosi się zapach pasty do drewna. Przed nami pokój o niebieskich ścianach. M<sup>me</sup> Claudel otwiera okiennice. Potok światła oblewa kominek, kanapę, zabytkowy kredens i małe stolicek, na którym stoją żółte filiżanki. Mam wrażenie, że Ravel przyjdzie za chwilę, aby przywitać się i zaprosić gości na popołudniową herbatkę.

– *Oh, la, la...* Muszę powiedzieć naszej małej Polce, że te cudowne srebra – wskazuje przewodniczka – muzyk otrzymał od zaprzyjaźnionego Polaka. Gro-de-ckie-go, *c'est imprononçable!* (to nie do wymówienia!) – przyznaje łamaną polszczyzną M<sup>me</sup> Claudel.



Fortepian Ravela.

– A wiesz, *ma petite* (moja mała), że ten pierścienek kupiłam w Warszawie – chwali się bursztynową biżuterią.

– Śliczny! – przyznaję. – Bardzo oryginalny! – dodaję.

\*\*\*

Wracamy do świata Maurice'a Ravela. Ileż tu przedmiotów... Na kominku stoją porcelanowe dzbanki, drewniane skrzynki, pozytywki, japońskie bibeloty.

– Ravel uwielbiał podróże! Zwiedził Japonię, Stany Zjednoczone, Hiszpanię, a także Grecję – opowiada przewodniczka.

Ravel czerpał wiele wątków z tych wojaży. Na przykład „Bolero”, utwór skomponowany na nutę hiszpańską, nawiązuje do tańca ludowego, a został przeznaczony, zgodnie z intencją twórcy – dla baletu.

M<sup>me</sup> Claudel sprawia miłą niespodziankę starszemu paryżaninowi. Wręcza gościowi pokryty kurzem zbior płyt. Mężczyzna ostrożnie dotyka skarbu.

– *C'est incroyable!* (to niesamowite!) *vraiment!* (naprawdę!) – szepcze z zachwytem.

– *Vous etes musicien?* (pan jest muzykiem?) – pytam nieśmiało.

– *Oui. Je suis compositeur!* (tak, jestem kompozytorem!) *La musique de Maurice Ravel, c'est ma passion* (muzyka Maurice'a Ravela to moja namiętność) – wyznaje mężczyzna.

\*\*\*

Podążamy niewielkim korytarzem, doprawdy mam wrażenie, że to domek dla karzełka.

– Maurice był niskiej postury. Podobno mierzył tylko 161 cm – potwierdza moje przypuszczenia przewodniczka.

Bez wątplenia dom został urządzony wytwornie, nowoczesnie i ze smakiem. Ravel, jako dekorator wnętrz,

zadbał o każdy szczegół. Nawet zaprojektował specjalny układ ścian, aby w ten sposób muzyka rozbrzmiewała w całym domu.

– A kiedy mistrz tworzył? – pytam.

– Proszę sobie wyobrazić, że Maurice uwielbiał spacerować. Właśnie podczas spacerów do pobliskich lasów lub ulicami miasteczka rodziły się pomysły do jego największych kompozycji – wyjaśnia M<sup>me</sup> Claudel. – A jako ciekawostkę dodam – kontynuuje – że Ravel nie miał samochodu. Kiedy padał deszcz, muzyk brał parasol i szedł pieszo na dworzec, aby stamtąd pojechać do Paryża.

\*\*\*

– *Voilà...* fortepian twórcy, zabytkowy instrument! Prawdziwe dzieło sztuki! Oczywiście prosimy paryskiego kompozytora, aby przedstawił nam jeden z utworów mistrza Ravela.

– Och, nie jestem pewien, czy mógłbym. To taki zaszczyt dla mnie – wyznaje sympatyczny jegomość. Cóż, spróbuję obudzić ducha naszego muzyka – zbiera się wreszcie na odwagę.

Dźwięki fortepianu roznoszą się w pomieszczeniu. Zamykam oczy. Czuję obecność Maurice'a Ravela.

\*\*\*

Czas upływa leniwie. M<sup>me</sup> Claudel zaprasza na taras. Promienie słońca ogrzewają nasze twarze. W powietrzu unosi się zapach kwiatów i młodych liści. W oddali widać wieżę katedry. Miarowo bije dzwon, odmierzając czas. To już południe!

– Muszę państwu opowiedzieć pewną anegdotę – ocknęła się z zamyślenia M<sup>me</sup> Claudel. – Otóż, któregoś dnia odwiedził Maurice'a pewien poeta. Gość usłyszał dźwięk dzwonu i był nim zachwycony. Ravel spojrzał na niego i stwierdził: „Ach, ten dzwon...?” On mnie po prostu denerwuje...” – cha, cha, cha... kończy ze śmiechem przewodniczka.

\*\*\*

Madame zaprasza nas do stoliczka. Oglądamy pożółkłe fotografie. Maurice Ravel w towarzystwie przyjaciół. Kompozytor na statku. Tu Ravel z... czarną brodą. A to ciekawe!

– Maurice pozbył się brody po śmierci matki – tłumaczy mi M<sup>me</sup> Claudel, po czym dodaje: – Jak państwo widzą na fotografiach, nasz muzyk był bardzo towarzyską osobą. Miał mnóstwo przyjaciół, i to na całym świecie.

Ravel był człowiekiem o wielkim poczuciu humoru. Uwielbiał żartować i robić głupstwa. Szkoda, że tak niewiele informacji się po nim zachowało. Brakuje bowiem jego pamiętników, dzienników. Jedyne bogata korespondencja rzuca światło na życie wybitnego Francuza. M<sup>me</sup> Claudel informuje nas, że domem artysty zajmowała się Céleste. – Kim była owa dama? – pada pytanie.

– Céleste to dawna bona Marcela Prousta – wyjaśnia przewodniczka.

\*\*\*

Zanim nadchodzi chwila pożegnania, wymieniamy się adresami, numerami telefonów i wpisujemy do pamiątkowej księgi. Na koniec M<sup>me</sup> Claudel zwierza się, że chciałaby napisać biografię swojego mistrza.

– To zabawne, kiedy ludzie dzwonią do muzeum, często mówią: „*Bonjour M<sup>me</sup> Ravel...*” (dzień dobry, pani Ravel...) – śmieje się nasza przewodniczka.

Magdalena Czyżewska I. 22

POD WIATR 5/2002

fot. archiwum



Maurice Ravel.



Fragment gabinetu Ravela.



# Marzenia do spełnienia

**„Nie trać czasu, zbieraj Dzisiaj wszystkie chwile, ponieważ są tego warte. Dziel je z wyjątkowymi ludźmi, a one będą jeszcze bardziej wartościowe. Wtedy Jutro będziesz mógł powiedzieć, że Wczoraj było piękne”. To motto Międzyszkolnych Regionalnych Warsztatów Dziennikarskich, które dla niejednego uczestnika bydgoskiej przygody dziennikarskiej stało się drogowskazem i przyjemnością. XXIII edycję wzbogaciło jeszcze jedno wezwanie: „Nigdy nie zapominaj o swoich marzeniach”.**

**T**radycyjnie chętnych do poznania abecadła dziennikarskiego było wielu. Na sprawdzianie pisemnym, preferującym zdolność wyrastania ponad przeciętność, ujawnili swoje predyspozycje, m.in. umiejętność obserwacji zjawisk społecznych i postaw ludzkich, wolę służenia innym, pragnienie bycia kochanym i dostrzeganym, ambitne aspiracje zawodowe oraz bardzo osobiste – stawiające sobie warunki rozumnego życia.

Na uroczystość inauguracyjną, oprócz uczniów i uczennic, którzy spełnili marzenie znalezienia się wśród uczestników „bydgoskiej szkoły talentów dziennikarskich”, stawili się rodzice, nauczyciele i dziennikarze: red. red. Ryszard Murawski, Zdzisław Pająk i Marek Rzepa – długoletni przewodnicy po mediach.

To do tego liczego audytorium adresował swoje programowe wystąpienie Mirosław Twaróg – twórca i szef Warsztatów (zdj. 1). „Żeby uprawiać dziennikarstwo, przede wszystkim trzeba być dobrym człowiekiem – przypomniał słowa Ryszarda Kapuścińskiego. – Jedyne dobre człowiek usiłuje zrozumieć innych, ich intencje, ich wiarę, ich zainteresowania, ich trudności, ich tragedie. I natychmiast, od pierwszej chwili, stać się częścią ich losu”.

Kontynuując ten wątek, mówca podkreślił, że dobry człowiek jest jak małe światełko, które w mrokach współczesnego świata przywraca blask człowieczeństwu. Tym blaskiem jest poczucie godności, sprawiedliwości, radość życia i wiara w drugiego człowieka. Przywracanie blasku człowieczeństwu wymaga od dziennikarza twardej walki o przestrzeganie wartości uniwersalnych. Jak dojść do takiej postawy?

W tym kontekście twórca Warsztatów przypomniał kandydatom na dziennikarzy słowa św. Jana Pawła II skierowane przed laty do ich rówieśników: „Każdy z was, młodzi przyjaciele, znajduje w swoim życiu jakieś swoje Westerplatte. Jakiś wymiar zadań, który musi podjąć i wypełnić. Jakąś słuszną sprawę, o którą nie może nie walczyć. Jakiś obowiązek, powinność, od której nie może się uchylać. Nie może zdezerterować. Wreszcie jakiś porządek prawd i wartości, które trzeba utrzymać i obronić”.

„Prawda, obowiązek, obrona słusznej sprawy... „Pomyślałam, że spotkanie z red. Mirosławem Twarogiem będzie idealne z okazji inauguracji zajęć na specjalności dziennikarskiej – powiedziała przed rokiem prof. dr hab. Halina Zgólkowa, szef Instytutu Retoryki, Pragmalingwistyki i Dziennikarstwa

i pożytecznego życia.

W liście do uczestników XXIII edycji Warsztatów wicewojewoda kujawsko-pomorski Zbigniew Ostrowski napisał m.in.: „(...) pewne jest to, że Warsztaty dadzą Wam coś, czego nie można znaleźć nigdzie indziej. Proste, ale skuteczne zasady, które będą Wam próbowali wpoić Wasi wykładowcy z panem redaktorem Mirosławem Twarogiem na czele – prawda, poszukiwanie najlep-



na Wydziale Filologii Polskiej i Klasyckiej UAM w Poznaniu – bydgoskie Warsztaty uczą bowiem dziennikarstwa w podobny sposób, co dziennikarska specjalność – skupiają się na solidnych, merytorycznych podstawach, na inspirowaniu przyszłych dziennikarzy i wytworzeniu w nich silnego etycznego kośćca”. Spotkanie zatytułowano „Fenomen Bydgoskich Warsztatów Dziennikarskich”, co jest wyróżnieniem, ale i odpowiedzialnym zadaniem dla organizatorów XXIII edycji.

Młodzi kandydaci na dziennikarzy, zgromadzeni w auli popularnej bydgoskiej „jedynki”, z pewnością zadawali sobie również pytanie: jak pisać, mówić, żeby trafić do czytelnika, słuchacza, widza? Podpowiadamy: są tylko dwie recepty, znane zresztą od wieków i dawno sformułowane przez Arystotelesa. Napisać, powiedzieć coś własnego. Wyrazić to osobistym językiem.

U progu dorosłości często za własne uważamy cudze myśli i słowa. Z różnych powodów, choćby wygody, dobrze się czujemy w ich „towarzystwie”. Trochę je przyprawimy gamoniowatym dowcipem, żargonem środowiskowym, podlejemy propagandowym sosem. Nie zadajemy sobie trudu, żeby dotrzeć w głąb siebie i starać się to wyrazić. Mamy wprowadzić takie pragnienia, taką potrzebę, ale z działaniem już gorzej. Warsztaty od lat pomagają podjąć wysiłek, aby przysłowiową skorupkę, która za młodu trąci zmanierowaniem, skierować na tory mądrzej, odpowiedzialnej refleksji. Dla wielu, już dzisiaj dorosłych ludzi i obywateli, ta recepta stała się drogą do spełnienia marzeń

szczyh, nie zawsze prostych rozwiązań, głód życia i stawianie sobie poprzeczki coraz wyżej. Jeżeli po zakończeniu tegorocznej edycji wszyscy spośród Was zapiszą te maksymy głęboko w sercu, to jestem pewien, że gdziekolwiek los Was nie pokieruje, będziecie w stanie osiągnąć to, o czym marzyście, osiągniecie życiowe sukcesy”.

Uczestników XXIII Warsztatów w poruszającym serca wystąpieniu powitała absolwentka ubiegłorocznej edycji – Julia Piątek (zdj. 2).

Artystycznym akcentem uroczystości stał się koncert Chóru „Primo” z Zespołu Szkół Ogólnokształcących nr 1 w Bydgoszczy. Powstał w 1996 roku z inicjatywy dr Moniki Wilkiewicz, która prowadzi go od sukcesu do sukcesu w krajowych i europejskich konkursach i przeglądach chóralnych.

Słowo i muzyka obecne podczas inauguracji XXIII edycji „bydgoskiej szkoły talentów dziennikarskich” w harmonijny sposób połączyły wrażliwość i ambicje obecnych w auli bydgoskiej „jedynki” młodych ludzi i ich mentorów na drodze wznoszenia się nad poziom tego, co przeciętne (zdj. 3). Motywując się nawzajem do zbierania chwil tego warty, będą mogli Jutro podzielić się nimi z wszystkimi, którzy zechcą z nich skorzystać.

\* \* \*

**W** październiku 1992 roku rozpoczęły swoją historię Międzyszkolne Regionalne Warsztaty Dziennikarskie: 22 edycje ukończyło 1946 osób – wiele z nich pracuje w mediach lokalnych, regionalnych, ogólnopolskich i zagranicznych, uczy dziennikarstwa w szkołach i na uczelniach.

**W** październiku 1993 roku ukazało się pierwsze wydanie POD WIATR. Z jego łamów talent ponad 5 tysięcy nastoletnich dziennikarzy, poetów, prozaików, plastyków i fotografików poznała Polonia na sześciu kontynentach.

Jak wiele marzeń zostało spełnionych...

Redakcja





# Mój czas, złoty czas...

O „Warsztatach” mógłbym mówić długo. Mógłbym, ale nie chcę czegoś uronić. W potoku słów łatwo o potknięcie. Trudno przelać na papier wrażenia, które wciąż we mnie trwają. „Warsztaty” odbierałem sercem. Tam uczyłem się nie tylko techniki przelewania myśli na papier, ale również wrażliwości wobec bliźniego. Tego, o którym piszę lub mówię, i tego, z którym przebywam. Wreszcie, tam szukałem pomysłu na przyszłe życie i mądre wchodzenie w dorosłość.

Dzisiaj, kiedy słyszę „Bydgoszcz”, swoje myśli kieruję w dwie strony. Jedną z prędkością światła wędruje na stadion przy ulicy Sportowej i z utęsknieniem czeka na kolejną dawkę żułowych emocji. Drugą równie prędko ląduje na zeszytach, który był moim „warsztatowym” powiernikiem. W nim notowałem wnioski i przemyślenia. W nim zostawiłem kawałek siebie. I pewnie dlatego tak bardzo Kocham wracać do tych wyjątkowych chwil.

Te wspaniałe momenty miały swoje przełożenie na konkretne zdarzenia, w których uczestniczę do dzisiaj. Od 2002 roku, kiedy zakończyłem uczestnictwo w „Warsztatach” (później w tym samym magicznym miejscu poznawałem jeszcze niełatwą sztukę tworzenia reportażu), moja przygoda z piórem i mikrofonem nabrała rozpędu. Zaprzyjaźniłem się

zwłaszcza z dziennikarstwem sportowym. Szansę tworzenia artykułów dał mi „Tygodnik Piłski”, w którym działałam do dzisiaj. Po drodze był też ukochany „Tygodnik Żułowy”.

A mikrofon? Darzę go szczególnym uczuciem i cieszę się, kiedy mogę nim operować. Obecnie robię to zawodowo, prowadząc uroczystości o najbardziej sportowym charakterze w piśmie Starostwie, którego załogę współtworzę od sześciu lat. Wyjątkową satysfakcją sprawia mi możliwość relacjonowania sportowych imprez, przede wszystkim żułowych i siatkarskich. Kocham tę pracę, a zwłaszcza możliwość tworzenia obrazu słowem i wspólnego przeżywania wydarzeń z publicznością. O jednym staram się nie zapominać – o odpowiedzialności za przekazywane słowo. Tego też nauczyłem się w drodze nad Brdą.

Dziękuję Wam, „Warsztaty”. Dałyście mi więcej, niż mógłbym się spodziewać. I zostanieie we mnie na zawsze.

Pozdrawiam serdecznie,  
**Wojciech Drożdż**

Absolwent X edycji Międzyszkolnych Regionalnych Warsztatów Dziennikarskich i VI Konwersatorium z poetyki reportażu

## My z XXI wieku

# W kryształowej kuli

**Internetowy zawrót głowy, spalenie XXI wieku. Do czego doprowadza ten radykalny przełom w naszym życiu, jakim jest całkowite skomputeryzowanie? Wszystko staje się paradoksalnie banalne, w końcu to, co niezbędne, znajduje się w samym sercu wirtualnego świata.**

Kiedyś zastanawiano się nad pokonywaniem codziennej rutyny – jakieś spotkanie, spontaniczny wypad za miasto, wspólna gra w tenisa, karty... A dzisiaj? Na co to komu... Wystarczy wcisnąć przycisk włączenia płaskiego urządzenia z ekranem i wyszukania na odpowiedniej stronie ulubionej gry. Co więcej, nie trzeba specjalnie wysilać się, by znaleźć przeciwników, bo jest ich tam mnóstwo o każdej porze dnia... Poza tym, zawsze można zatracić się w swoim własnym indywidualizmie – założycie słuchawki na uszy, włączając przy tym odpowiedni kanał w radiu – dla tak wszechstronnie eklektycznego dzisiejszego świata – wyboru utworów nie powinno zabraknąć...

Co więcej, szaroburo za oknem, leje jak z cebra, a wypadaloby w końcu zapelnic lodowkę, która w tym momencie świeci pustkami... Ale mamy takiego lenia, że nie jesteśmy w stanie unieść ręki i nogi... Nie zapominajmy również o tym, że jesteśmy z cukru, więc taki deszcz mógłby zmyć nas z powierzchni ziemi, a tego przecież chcemy uniknąć, prawda?

Jak się okazuje, rozwiązanie jest prostsze, niż myślimy – wystarczy wstukać w „wujka Google” nazwę marketu, wyszukać i zamówić odpowiednie produkty i *voilà* zakupy zrobione w kilka minut, bez zbędnej potrzeby wychodzenia na przemoczony świat za oknem...

Pełni dumy powracamy do tego pięknego świata... Cóż, chyba czas nawiązać znajomości, porozmawiać z kimś, tylko tak, by nie trzeba było wychodzić z domu. To też nie problem... Logujemy się na jednym z portali społecznościowych, nawiązując kontakt, z kim dusza tylko zapagnie... Czy to nie piękne? Nie musimy pamiętać o nieśmiałości, niskiej samoocenie czy niezłomnej ciszy. Po prostu piszemy – z tym rozmowa się nie klei? To nic, jest następny i kolejny... Ach... Ten świat jest niezwykły. Nie trzeba się wysilać, by „spędzić” z kimś kilka godzin na czacie, rozmawiając... o niczym. To właściwie wystarczy do szczęścia, bo cóż chcieć więcej.

Spotkań w parku, restauracji, kinie? Gdzie tam... To już nie ta bajka. Poza tym, mogłoby to skończyć się żalosną ciszą, a przecież to jej właśnie chcemy uniknąć. Dzisiaj właściwie nie ma ograniczeń – przyjaźnie, związki, rodziny zakłada się właśnie w tym zacnie wirtualnym świecie. Tutaj też pracujemy, uczymy się i tyle codziennie robimy!

Zabiegać o czyjeś względy? Czy nie właśnie tym jest ta długa rozmowa na czacie? Czyż nie czuć tych emocji, gorących spojrzeń, błędzących uścisków? To wszystko jest w zasięgu ręki, a tak prawdę mówiąc – nieskończonej wyobraźni... Nie potrafiłeś/łaś dotąd tego docenić? Przemyśl to, być może tam, za ekranem Twojego komputera, w realnym świecie komuś na Tobie zależy i ubolewa nad tym, że tego nie dostrzegasz – w końcu tak się stara!

Czas pogodzić się z kryształową kulą, w której egzystujemy zamknięci. Uwolnić nas może jedynie niezłomna wyobraźnia, której jest, niestety, coraz mniej w dzisiejszych czasach.

**Katarzyna Brzoskowska I. 21**

## Wspomnienia zatrzymane w kadrze



XI edycja 2002–2003



XII edycja 2003–2004



XVIII edycja 2009–2010

fot. archiwum Międzyszkolnych Regionalnych Warsztatów Dziennikarskich





„Botanik”.

# Raj wśród drzew

*Ogród Botaniczny Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy zajmuje 2.33 ha i jest dumą miasta nad Brdą. To miejsce niezwykle, przyciąga starszych i młodszych, dendrologów i studentów. Można tu spacerować długo, nigdy nie nużąc oczu. Na jego obszarze każdy jest w stanie obudzić w sobie żyłkę ekologa. Kusi bowiem różnorodną florą oraz ciekawymi formami ukształtowania powierzchni (staw czy wzgórze dawnego alpinarium). To również doskonale zaplecze dla przeprowadzania „zielonych lekcji” wśród najmłodszych.*

– Piętnaście lat temu, gdy przejmowaliśmy ten teren, roso tutaj 220 gatunków drzew i krzewów. Teraz mamy około 670 gatunków i odmian – wodzi wzrokiem po malowniczej przestrzeni kierownik Ogródu Botanicznego Uniwersytetu Kazimierza Wielkiego, pani Barbara Wilbrandt.

Wszystko zaczęło się w roku 1930, kiedy utworzono Szkolny Ogród Botaniczny. Miał być bazą przyrodniczo-edukacyjną dla ówczesnych placówek oświatowych w Bydgoszczy. Jeszcze przed rokiem 1950 przemianowano obiekt na Miejski Ogród Botaniczny, a w 1951 roku pieczę nad nim przejął Instytut Hodowli i Aklimatyzacji Roślin. W 1995 roku konserwator przyrody objął ochroną znajdujące się tutaj okazy

przyrodnicze – powstał kompleksowy Pomnik Przyrody Arboretum, a w 1999 roku bydgoska uczelnia przejęła ten malowniczy zakątek. Dziś funkcjonuje on pod nazwą Ogród Botaniczny UKW.

Aby móc krzewić zainteresowanie naturą, Ogród Botaniczny UKW w 2014 roku otrzymał dofinansowanie z Wojewódzkiego Funduszu Ochrony Środowiska i Gospodarki Wodnej w Toruniu na realizację projektu pt. „Ptaki wokół nas – przyroda częścią nas”, którego coroczną dominantą jest udział w ogólnopolskiej „Akcji Karmnik”. Dzięki wsparciu Funduszu udaje się również zorganizować wiele wykładów proekologicznych oraz zajęć terenowych o charakterze dydaktycznym dla dzieci w różnym wieku.

Wśród październikowej oferty przyrodniczej, nawiązującej do „Święta Drzewa”, znalazły się warsztaty „DRZEWA WOKÓŁ NAS”. Skorzystałam z tej okazji, uczestnicząc w nich. Jej adresatami byli uczniowie szóstej klasy ze Szkoły Podstawowej nr 2 w Bydgoszczy. Dzieci – pod opieką wychowawcy, pedagoga szkolnego oraz nauczyciela przyrody tej placówki – ochoczo weszły do sali wykładowej. W sumie – dziewiętnastourocznych pasjonatów przyrody.

Część teoretyczną przeprowadziła Ewa Wachowiak, pracownik naukowo-techniczny Zakładu Botaniki UKW. Aby wprowadzić pasjonatów ekologii w tematykę zajęć – pani Ewa Wachowiak zapytała, czego jest więcej na świecie: ludzi czy

się, a także zapoznali się z pokrojami drzew oraz nauczyli się rozpoznawać kształty liści.

Na uwagę zasługuje sposób przekazywania wiedzy. Aby szóstoklasiści mogli jak najwięcej wynieść z tego spotkania, zagadnienia były omawiane w przejrzysty sposób. Nie zabrakło praktycznych ćwiczeń pozwalających utrwalić uczniom nowo poznane słownictwo. Z największym zainteresowaniem spotkało się prezentowanie materiałów (np. liści, nasion, owoców drzew, a także rysunków). Młodzi obserwatorzy chętnie przekazywali sobie te „eksponaty”, odpowiadali na pytania pani Ewy Wachowiak, mając na uwadze wcześniej wytłumaczone kwestie. Podczas wykładu nie zabrakło



Gra edukacyjna z użyciem kart.

drzew? Jeden ze słuchaczy sprytnie odpowiedział, że to zależy od siedliska. Ta wypowiedź stanowiła impuls do dyskusji, której tematem przewodnim były drzewa.

– Stańmy się dziś dendrologami, a więc osobami, które badają drzewa i krzewy – zachęcała do myślenia realizatorka zajęć. Wzrok młodych badaczy powędrował za wskaźnikiem pani Ewy Wachowiak, która rozpoczęła omawiać treści ukazane na prezentacji multimedialnej, przygotowanej specjalnie w związku ze szkoleniem. Dzięki takiej formie edukacji uczniowie mogli na bieżąco kontrolować treści przekazywane ustnie z wyświetlanymi wiadomościami oraz ilustracjami. A było nad czym „główkować”. Młodzi pasjonaci dowiedzieli się, czym dendrolog zajmuje

również elementu humorystycznego. Na pytanie – „Jak drzewa się rozprzestrzeniają?”, padła żartobliwa odpowiedź: „Chodzą?”. To rezultat spontanicznej reakcji młodego ekologa na treści wyświetlone na prezentacji: rysunek drzewa, a obok niego ślady stóp. Owa ilustracja stanowiła pretekst do poważnej dyskusji.

Podczas szkolenia dzieci dowiedziały się, jak sprawdzić wiek drzewa. Dzięki materiałowi fotograficznemu oglądano kształty liści poszczególnych gatunków. – Aby zapoznać się z wybranymi okazami, najlepiej udać się do parków. Ponieważ znajdujemy się na obszarze Ogródu Botanicznego, przygotowaliśmy dla was zadania praktyczne w terenie – Barbara Wilbrandt zaprosiła miłośników natury na miniwycieczkę.



„Botanik”.



„Botanik”.





Badanie pokroju drzew.

Podopieczni SP nr 2 zgodnie podążyli za panią przewodnik. Rozpoczęły się zajęcia praktyczne. Pierwszym z zadań było badanie pokroju drzew. Zanim dzieci przystąpiły do eksperymentu, korzystając z przeznaczonych do tego celu aparatury, dotykami poznawały eksponaty. Kiedy zadanie zostało zaliczone, pani Barbara Wilbrandt zaprowadziła badaczy pod konkretne drzewo. Niestety, nikt nie potrafił rozpoznać, co to za gatunek, dlatego pani kierownik przytoczyła zagadkę, aby naprowadzić odkrywców na właściwy trop: – Wyobraźcie sobie, że do tego drzewa przyszedł pan ogrodnik, a następnie je pograził. Co to za drzewo? – pytała. Odpowiedź z ust pewnego szóstoklasisty

po chwili namysłu... uciekła. „W końcu jest u siebie” – pomyślała.

Warsztaty, ku zadowoleniu małych przyrodników, trwały dalej. Kolejnym zadaniem stało się rozpoznawanie drzew na podstawie liści. W tym celu na ścieżce ustawiono elementy klonu, buku, dębu, platana, świerku, olszy, sosny, cisza. Przy pomocy organizatorów dzieci przypominały sobie, do jakiego gatunku przyporządkować owe „eksponaty”. Następnie wprowadzono pewną innowację. Odkrywców polecono zapamiętać ustawienie liści, po czym wybrano ochotnika, który miał się odwrócić, by nie widzieć dokonanych zmian. Jeden z kolegów zmienił lokalizację dwóch liści. Gdy mło-



Warsztaty teoretyczne – nauka rozpoznawania kształtu liści.

padła momentalnie: – Grab! – wykrzyknął zachwycony. Później dzieci dowiedziały się, że nazwę „grab” mogą również skojarzyć ze zgrabiałą, a więc twardą, korą tego drzewa. W czasie tej pogadanki czujne oko jednego z uczniów dostrzegło ciemnobrązowego ssaka: – Wiewiórka, wiewiórka! – wołał urzeczony. Pozostali szóstoklasiści nie dali się jednak zwieść nawoływaniu kolegi, uważnie słuchając wyjaśnień dotyczących rozpoznawania grabu. Pozytywnie zaskoczyła mnie taka wytrwałość w zdobywaniu wiedzy. Byłam jedyną osobą, której wzrok powędrował za okrzykiem obserwatora. Dostrzegłam miłe stworzenie, którego rudawe futerko przepięknie kontrastowało z zielonym gruntem. Leśna przyjaciółka wyczekująco stała i obserwowała otoczenie. Niestety,

dy entuzjasta przyrodniczej łamigłówki powrócił do kręgu – bezbłędnie wskazał to, co zostało podmienione. Zabawa uczyła nie tylko szybkiego kojarzenia, lecz przede wszystkim oswajała uczniów z kształtem poszczególnych liści. Poziom trudności gry wzrastał, kiedy do układu „eksponatów” dodawano nowe elementy, np. szyszki. – Nie chodzi o to, by zgadywać, lecz by dobrze pamiętać – podsumowała pani Barbara Wilbrandt.

Inne zadanie polegało na dopasowaniu nazw gatunków do rozłożonych na ziemi kart przedstawiających poszczególne liście. Gdy warsztatowcy się mylili – organizatorzy, nawiązując do informacji, które zostały przekazane w sali wykładowej – starali się im pomóc. „Przyjrzyjcie się kształtowi liści”, „Ktoś z was wspominał,

że nasiona tego gatunku potocznie nazywa się helikopterami”, „Kora tego drzewa przypomina wzór moro”. Po tej grze nastąpiło podsumowanie pobytu młodzieży w Arboretum, był czas na zadawanie pytań i udzielanie fachowych odpowiedzi.

Część teoretyczną zajęć wraz z „żywą” lekcją przyrody okazały się atrakcyjną i pożyteczną metodą kształcenia. Szóstoklasiści przekonali się, że każda pora roku umożliwia to, by ów malowniczy zakątek mógł prezentować swoje walory we wszystkich warunkach atmosferycznych. – Można powiedzieć, że ogród żyje – poszczególnymi etapami – przez cały rok. Latem cudownie prezentują się róże oraz stawy, natomiast jesienią wszystko ładnie się przebarwia. Zwiedzający mówią, że ten teren ma duszę, są tutaj bowiem rzeźby z drewna, wykonane przez naszego ogrodnika, Jarosława Mikietyńskiego – zwierza się pani Barbara Wilbrandt.

Arboretum to wygodne miejsce do życia (i przetrwania!) dla wielu przedstawicieli fauny. Spotkać tu można między innymi: ryby, traszki, wiewiórki, a także mnóstwo ptaków. Te rozmaite stworzonka ukazują się ludzkim oczom tylko wtedy, kiedy same sobie tego zażyczą. Przekonali się o tym uczestnicy „zielonej lekcji”, pilnie ich wypatrując i ciesząc się ich widokiem.

Aby móc opisać malowniczość tego zakątka w centrum miasta, trzeba go zobaczyć. Ale i wówczas brakuje słów, które oddadzą całą gamę jego piękna. Intrygujący dobór roślinności połączony z kompozycją dźwięków wydawanych przez mieszkańców tego obszaru to doskonała propozycja dla każdego chętnego do spędzenia tutaj wolnego czasu. Satysfakcji dostarczają zarówno dotyk, jak i wrażenia wzrokowe. Przebiec palcami po gładkości liści, poczuć chłód drewnianych rzeźb, upoić się zapachem drzewa ciasteczkowego czy zbadać alpinarium – oto wybrane atrakcje, stanowiące cel warsztatów dydaktycznych dla młodego pokolenia. W ten sposób budzi się w nim fascynacja przyrodą i świadomość jej roli w życiu człowieka.

– Dla nowych gości nasz „raj” nigdy nie będzie przestrzenią odkrytą od razu. Należy przygotować się na podróż wokół wielu zakątków, bowiem ogród odsłania się etapami – zaprasza do zwiedzania pani Barbara Wilbrandt.

Zachęcona tym, co słyszałam i widziałam – tę podróż odbędę jeszcze nie jeden raz.

**Agnieszka Szlachcikowska I. 24**

zdjęcia: Agnieszka Szlachcikowska i archiwum Ogrodu Botanicznego UKW



Nauka rozpoznawania nasion drzew.



„Botanik”.



# Listopadowa refleksja



## Wyznanie

Dziewięćdziesiąt sześć lat temu nasi przodkowie odkryli w sobie tak wielką radość, jaką może czuć tylko człowiek szczęśliwy ponad wszystko. „Mamy Polskę!” I z zapalem godnym Wielkiej Sprawy z dumą uczyli swoje dzieci i wnuki wierszyka pokoleń:

- Kto ty jesteś?
- Polak mały.
- Jaki znak twój?
- Orzeł biały.
- Gdzie ty mieszkasz?
- Między swemi.
- W jakim kraju?
- W polskiej ziemi.
- Czem ta ziemia?

- Mą Ojczyznę.
- Czem zdobyta?
- Krwią i bliźną.
- Czy ją kochasz?
- Kocham szczerze.
- A w co wierzysz?
- W Polskę wierzę.
- Coś ty dla niej?
- Wdzięczne dziecię.
- Coś jej winien?
- Oddać życie.

*Wyznanie wiary dziecięcia polskiego*  
(wiersz napisany w 1900 r. przez Władysława Bełzę).

*Na zdj.: Grób Władysława Bełzy na cmentarzu Łyczakowskim we Lwowie (fot archiwum).*



### Nasz adres:

**POD WIATR**  
85-099 Bydgoszcz 23  
skrytka pocztowa 49

**www.podwiatr.pl**  
e-mail: podwiatr93@wp.pl

- **POD WIATR.pl** tworzy młodzież; amatorzy dziennikarstwa, literatury, sztuki plastycznej i fotografii.
- **POD WIATR.pl** es creada por los jóvenes: aficionados al periodismo, la literatura, las artes plásticas y la fotografía.
- **POD WIATR.pl** est créé par les jeunes: des amateurs du journalisme, la littérature, les beaux-arts et la photographie.
- **POD WIATR.pl** is created by young people: amateurs of the journalisme, literature, fine arts and photography.
- **POD WIATR.pl** создает молодёжь; любители журналистики, литературы, художного искусства и фотографии.

**POD WIATR** ma formułę otwartą: udostępnia łamy każdemu młodemu twórcy oferującemu czytelnikom swój talent. Jest pismem dla Ciebie! Redaguj je z nami!

Czekamy na Was. Czekamy na Wasze, reportaże, felietony, recenzje, wiersze, opowiadania. Czekamy na rysunki,

grafiki i zdjęcia. Czekamy na Wasze opinie i propozycje. **NAPISZ!** Będziesz z nami, a my z Tobą.

### Nasz adres:

**POD WIATR**  
85-099 Bydgoszcz 23, skrytka pocztowa 49  
**www.podwiatr.pl**  
e-mail: podwiatr93@wp.pl

## Z Pod Wiatr.pl przez świat



**Od lutego 2012 roku, po osiemnastu latach wersji papierowej POD WIATR kontynuuje swoją historię w formie elektronicznej. PDF-y z czasopismem przekazywane są młodzieży i dorosłym czytelnikom pochodzenia polskiego za pośrednictwem instytucji, stowarzyszeń i organizacji polonijnych, polskich szkół za granicą, placówek dyplomatycznych, animatorów oświaty i kultury polskiej na świecie, osób prywatnych i duchownych do:**

Albanii, Algierii, Angoli, Arabii Saudyjskiej, Argentyny, Armenii, Australii, Austrii, Azerbejdżanu, na Białoruś, Boliwii, Bośni i Hercegowiny, Beninu, Brazylii, Bułgarii, Chile, Chin, Chorwacji, na Cypr, Czarnogóry, Czech, Danii, Dominikany, Egiptu, Estonii, Finlandii, Francji, Gruzji, Grecji, Holandii, Indonezji Irlandii, Islandii, Japonii, na Jamajkę, Kamerunu, Kanady, Kazachstanu, Kenii, Kolumbii, Korei Południowej, Kostaryki, na Kubę, Kuwejt, na Litwę, Luksemburga, na Łotwę, Macedonii, na Madagaskar, Malezji, na Malte, Maroka, na Mauritius, Meksyku, Moldawii, Monaco, Mongolii, Mozambiku, Niemiec, Norwegii, Nigerii, Nowej Zelandii, Panamy, Paragwaju, Peru, Portugalii, Rosji, Republiki Południowej Afryki, Rumunii, Serbii, Singapuru, Sudanu, na Słowację, Słowenii, Szkocji, Szwajcarii, Szwecji, Tunezji, Turcji, na Ukrainę, USA, Uzbekistanu, Wenezueli, na Węgry, Wielkiej Brytanii, Wietnamu, Włoch, Zimbabwe, Zjednoczonych Emiratów Arabskich.



Polska jesień.



Odpoczynek łodzi.

## Z kolekcji Mistrza

Autorem obrazów, których zdjęcia prezentujemy, jest wieloletni przyjaciel **POD WIATR** i popularyzator naszego czasopisma wśród argentyńskiej Polonii – pan Zygmunt Kowalski. Urodzony w Toruniu, od 1948 roku mieszka w Posadas, stolicy prowincji Misiones w północno-zachodniej Argentynie. Jest znanym i uznawanym artystą-malarzem, wystawiającym swoje prace w najbardziej prestiżowych galeriach i muzeach argentyńskich. Odbył wiele podróży. Odwiedził między innymi kilkanaście wysp i atolów Polinezji, dokąd został zaproszony, by uwiecznić ich piękno. Owocem tych podróży stały się obrazy wystawione w między innymi w stolicy Tahiti – Papeete i w zrekonstruowanym domu słynnego malarza francuskiego Paula Gauguina. Obok pejzaży argentyńskich, malował także krajobrazy brazylijskie, hiszpańskie, niemieckie i polskie. Wystawiał swoje obrazy w Polsce, w Warszawie. Jego dzieła zdobią wiele kolekcji prywatnych i muzealnych.